

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Helena Sekuła

SIEDEM DIABLÓW
DZIADKA OSIORNEGO



ISKRY · WARSZAWA · 1974

Z zamroczenia otrzeźwił go ból; tępy, rwący ból śródstopia, rozsadzający kostkę i promieniujący wzdłuż goleni. Uniósł głowę – karuzelą przetoczył się horyzont. Wlepił oczy w jeden punkt, trwał tak w bezruchu, widnokrąg zafalował i nareszcie znieruchomiał, miedziany księżyc znowu wisiał nad dachem domu, kremowe ściany zdawały się świecić, szpaler tuż rzucał widmowe cienie, za nimi majaczyła siatka parkanu.

Dopiero teraz dotarła do niego oszałamiająca woń maciejki i ciężki, przesłodzony zapach róż i dopiero teraz spostrzegł, że

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Helena Sekuła

**SIEDEM DIABŁÓW
DZIADKA OSIORNEGO**



Z zamroczenia otrzeźwił go ból; tępy, rwący bólśródstopia, rozsadzający kostkę i promieniujący wzdłuż goleni. Uniósł

głowę — karuzelą przetoczył się horyzont. Wlepił oczy w jeden punkt, trwał tak w bezruchu, widnokrąg zafalował i nareszcie znieruchomiał, miedziany księżyc znowu wisiał nad dachem domu, kremowe ściany zdawały się świecić, szpaler tuj rzucał widmowe cienie, za nimi majaczyła siatka parkanu.

Dopiero teraz dotarła do niego oszałamiająca woń maciejki i ciężki, przesłodzony zapach róż i dopiero teraz spostrzegł, że leży wśród połamanych krzewów, zmiażdżonych pysznych kwiatów, a ciernie gałązek ranią mu ręce, drapią twarz.

Jak długo tak leżał bez czucia? Ze świadomością powrócił strach. Uciekać! — łomotało w mózgu. Dźwignął się na łokciach, rozejrzał, cały zamieniony w słuch. Tylko jedno okno parteru, okute kratą w kształcie sieci pająka, zaciągnięte gęstą zasłoną, nadal rozjaśniał słaby, pomarańczowy blask.

Dom zdawał się uśpiony, w ogrodzie panowała sielska cisza, z oddali niósł się stłumiony szmer z rzadka przejeżdżających samochodów.

Zebrał się w sobie, jednym wyrzutem ramion i podciągnięciem tułowia wyswobodził się z kolczastych gałązek i wywłókł

obolałe ciało na zwirową ścieżkę. Okupił to paroksyzmem napierającego bólu, lecz nie wydał jęku. Ogarnęła go słabość bliska omdlenia, więc odpoczął chwilę, potem już poruszał się ostrożnie, wsłuchany w siebie; nareszcie dopełznął do żywopłotu.

Zatrzymał go narastający odgłos motoru. Przy krawężniku stanął samochód; mężczyzna przecisnął się między dwoma krzewami i znieruchomiał w zagłębieniu pod siatką. Osłaniały go gęste, zielone łapki tuj. Trzask drzwiczek, dźwięk uru-chamianego silnika, zacichający warkot oddalającego się wozu, kroki na chodniku. Kobięcy głos:

—O! Jaki zabawny pies, siedzi jak na warcie... Chodź, piesku, nie bój się...

Głos mężczyzny odpowiadający coś w niezrozumiałym języku.

Trzaśnięcie furtki, skrzyp żwiru na ścieżce; mężczyzna ukryty za żywopłotem wstrzymuje oddech. Na wyciągnięcie ręki mija go para ludzi, rosły mężczyzna i dziewczyna omotana szyfonowym szalem. Lekki wiatr zarzuca jego kraj na gałązkę krzewu, dziewczyna przystaje, wypłtuje frędzle, pochyła się —

przy tym księżycowa poświata osrebrzą jej rozsypujące się na ramiona długie, proste włosy.

Za tujami człowiek rozpląszcza się, zamiera w swej niepewnej kryjówce, pragnie wtopić się w ziemię.

Przeszli; cichnący chrzęst żwiru, odgłos otwieranych i zamykanych drzwi — cisza. Mężczyzna pod parkanem bierze głęboki oddech, wypelza na ścieżkę, wreszcie dźwiga się i, czepiając siatki, dociera do furtki. Ostrożnie zamyka ją za sobą i wlecze się chodnikiem — wokół żywej duszy, wśród koron drzew prze- błyskują latarnie.

Przystaje, gdy jest już w przyzwoitej odległości od domu w różanym ogrodzie. Wtedy dopiero ściąga z dłoni rękawiczki, z kieszeni dobywa gwizdek, podnosi do ust, jednak żaden dźwięk nie mąci ciszy...

Skądś wynurza się ciemny kształt, bezgłośnie biegnie wielkimi susami. Duży pies osadza się tuż przed mężczyzną, wpatrzone w niego dwa opale — cichutki, zdławiony pisk szczęścia. Człowiek chwilę majstruje przy obroży, potem sprawdza zapięcie klamry.

—Aza! Idź do domu, prędko idź do domu! — nakazuje dobitnie; pies znowu skomli cicho i tak samo jak się pojawił, oddala się bezszelestnie, niknie w cieniu drzew, którymi wysadzona jest ulica.

Mężczyzna brnie dalej. Kończy się willowa uliczka łagodnie opadająca ku skarpie, jedna z tych zacisznych uliczek górnego Mokotowa, enklawa zieleni i spokoju prawie w sercu Warszawy.

Mężczyzna skręca w przecznicę. Tu już nie ma parkanów, tylko zwarta zabudowa. Wlecze się pod górę Belgijską, ciągnąc za sobą bezwładną jak kloc nogę. Widzi, jak spuchła, ma wrażenie, że zaraz pęknie na niej skóra, ale pewno dzięki temu obrzękowi mniej boli.

Blednie już krótka czerwcową noc, gdy dociera do Puławskiej i budzi na postoju szofera jedynej taksówki. Z ulgą opada na siedzenie; odgradzony od świata szybą wozu, czuje się wreszcie bezpieczny.

Martwa kobieta, ubrana w jedwabną piżamę, z nienaturalnie opadniętą na piersi głową, wpół leży na fotelu; nie ma śladów krwi, tylko poniżej nasady włosów, mniej więcej między pierwszym a trzecim kręgiem, znaczy szyję ciemno- sina pręga; miejsce ciosu, który prawdopodobnie zmiażdżył stos pacierzowy i przerwał rdzeń.

W pokoju nieład; szukano tu czegoś gorączkowo i w panicznym pośpiechu. Ale co zrabowano?

Ubranie i bielizna, wygarnięte ze ściennej szafy, walają się na podłodze, obok kilka podartych książek z poszarpanymi okładkami. Na to wszystko rzucono trzy damskie torebki, rozwarte, puste. Jakieś drobiazgi rozsypane na podłodze, a wśród

nich, między zmiętą bielizną osobistą kawałki pociętych gazet; złożyłem z tego dość gruby plik i wtedy spostrzegłem, że wszystkie są jednakowego formatu — mają kształt prostokąta, zupełnie jak gdyby przycięto je introligatorską gilotyną.

Pod ścianą tapczan zasłany jak do snu, ale pościel nie tknięta, widocznie mieszkanka tego pokoju nie zdążyła, się po-

łożyć. Obok, na niskiej półce ceramiczna lampa z abażurem z różowego jedwabiu, szklanka napełniona zielonkawym płynem, białe draże w szklanej tubce jeszcze jakieś flaszeczki z lekarsywanami Na stole napoczęta butelka koniaku i samotny kieliszek.

— Napar szałwi — Leszek Biernat wacha zieloną ciecz w szklance potem ostrożnie umieszcza ją z powrotem na dawnym miejscu.

Stanąłem przy drzwiach, aby nie przeszkadzać chłopakom w oględzinach a równocześnie chciałem widzieć ich wszystkie czynności; nie, żebym nie miał zaufania do umiejętności kolegów. To był wysoko wykwalifikowany i zgrany zespół, mogłem być spokojny, że niczego istotnego nie przeoczą; ja jednak będę prowadził tę sprawę i mnie będą rozliczać z wyników.

—Może z tego da się znów złożyć gazetę? — technik badał

sposób łamania kolumn na zadrukowanych kawałkach. Uderzyło go ich podobieństwo.

Udało się; wyszedł nam z tego egzemplarz „Życia Gospodarczego“, tyle że bez rozkładówki. Natomiast pierwszą stronę skompletowaliśmy wraz z tytułem i datą prawie w całości. Numer pochodził z dziesiątego stycznia. Lecz rzeczą najcenniejszą był nie tytuł i nie data, tylko mały skrawek banderoli, jakimi zwykle okleja się prasę rozsyłaną przez urzędy pocztowe; na takiej opasce umieszcza się nadruk z adresem i nazwiskiem abonenta.

Szcześliwym trafem strzep tego opakowania, z wyraźnym numerem pocztowego kodu, zachował się na gazetowym wycinku.

0230 815 — sdczytał Leszek Biernat.

Technik przygotował do fotografii twarz zabitej, skinął na fotografa. Strzelił flesz,

— Gotowe — uniósł dłoń w przejrzystej rękawiczce, potem ostrożnie zdjął pierścionki z palców zmarłej; zgodnie z kanonem mody miała je na wskazującym i środkowym palcu lewej ręki, prawą ozdobiły także dwa, tylko nałożone — jeden za drugim — na serdeczny palec.

— Srebro — technik przelotnie zerknął na próby.

— Dlatego nie skusił się na nie mor... — Leszek Biernat podrzucił na dłoni jeden z pierścionków i urwał w pół słowa; jeszcze raz zrobił to samo, potem uważnie przyjrzał się oczku. Teraz ostrożnie obrócił pierścionek, ukośnie podstawiając kamień pod słoneczny promień; gwizdnął przeciągle i podskoczył do okna. Zanim zorientowałem się, co chce zrobić, pociągnął tym oczkiem po szybie. Rozległ się zgrzyt, na szkle pozostała matowa rysa.

— Srebro, ale co w srebrze! — zatriumfował Biernat. Podał mi pierścionek i szkło powiększające. Zwielokrotnione soczewką, ostre, wielokątne szlify były nie naruszone, załamywały światło i promieniowały bladym, zimnym lśnieniem.

— Brylant — położyłem pierścionek. Wyjąłem Leszkowi z rąk następny, z prostokątnym rubinowym oczkiem. — Zostaw to rzeczoznawcom, nie wszystkie szlachetne kamienie można próbować na szkle.

— Grzegorz, nie ucz ojca... — obruszył się Leszek. — Sprawca obciął się na tej srebrnej oprawie, podobnie jak kolega...

— Nie mam czasu na zabawę — mruknął urażony technik. — Tę twoją rewelację i tak odkryto by w laboratorium.

—Grzegorz nie dałby tych pierścionków do laboratorium.

Leszek miał rację, gdyby nie jego spostrzeżenie, nie przekazałbym ich do badania, bo i po co?

Pokój mieścił się na piętrze; balkonowe drzwi wiodły wprost na taras. Oba oszklone skrzydła zastaliśmy otwarte. Tuż przy mosiężnej klamce jedna klatka szyby była rozbita, ale ani w pokoju, ani na tarasie nie znaleźliśmy nawet okruszyny szkła.

—Fachowa robota — ocenił Leszek. — Szyba wygnieciona na lepik!

—Żadnych linii papilarnych — technik badał zmatowiałą od argenteratu rozbitą szybę. — To musiał być dobry szlamiarz. I pomyśleć, że rzadko który z nich zakłada do pracy rękawiczki.

—Idziemy dalej...

Dalej rozpościerał się obszerny taras z wyłamaną balustradą; to rzuciło nam się w oczy zaraz, gdy tylko weszliśmy do ogrodu

— wyłamany kawałek drewnianej bariery leżał obok klombu stratowanych róż.

—Próchno — technik lekko trącił czubkiem buta obły kawałek; z wierzchu wyglądał solidnie, gładki, pociemniały dąb, wewnątrz jednak drzewo było porowate, stoczone przez czas i korniki.

Leszek, przewieszony przez krawędź, badał kamienny fryz okalający balkon tuż pod balustradą.

Wreszcie zeszliśmy na dół, technik oglądał teraz dokładnie oderwaną część drewnianej bariery.

—Czyżby skakał z balkonu? — Wydawało się to mało prawdopodobne, bo wysokość była znaczna. Dom wznosił się na podmurówce z kamiennych ciosów.

Okazało się, że taras od ziemi dzieliła przestrzeń około dziesięciu metrów.

—Mógł mieć sznur — technik opukiwał spróchniałą barierę. —

Zaczepił go

o poręcz i nadwątlone drzewo nie wytrzymało ciężaru.

—Przy takim upadku kontuzja pewna — zauważył Leszek.

—Według mnie on nie posługiwał się ani sznurem, ani drabinką

— nie zgodziłem się z nimi. — Ogrodzenie tarasu nie wytrzymałoby ciężaru już wówczas, gdy wchodził, a przecież dostał się do środka... Miał do wyboru rynnę lub linkę odgromnika.

—Akrobata — mruknął technik.

—Wytrawny szlamiarz — Leszek miał absolutną pewność co do profesji nocnego gościa. — Dlaczego nie wracał tą samą drogą?

—Uciekał! To przecież jasne; spłoszyła go ta kobieta, uderzył ją, pewno chciał tylko ogłuszyć, aby

nie krzyczała...

Cios okazał się jednak śmiertelny! — Zastanawiałem się, czy uciekając, wiedział już o tym.

Pod samym domem, w trawie, znaleźliśmy męski zegarek; dość drogi, złoty chronometr — doxa, ze skruszonym uszkiem i rozerwanym skórzanym paskiem. Zegarek stał, wskazywał dziesiątą czterdzieści — sprężyna była wyczerpana. Po nakręceniu wskazówki wznowiły swą wędrówkę naokoło tarczy.

Dziesiąta czterdzieści wieczorem czy rano? Nie było się nad czym zastanawiać, to nie znaczyło nic, nie określało żadnego interesującego nas czasu.

Pociemniały od zużycia skórzany pasek pękł przy klamercie i bardzo możliwe, że zegarek zgubił przestępca. W takim razie ten przepocony kawałek skóry mógł mieć znaczenie dla śledztwa — zachował woń właściciela.

—Może Homo coś nam podpowie?

Syberyjski wilczur był etatowym tropicielem w komendzie dzielnicowej na Mokotowie. Psią znakomitość cechował absolutny węch, inteligencja, wytrzymałość i do tego wielka uroda. Jego przewodnik utrzymywał, że to najlepszy tropiciel nie tylko w Warszawie; pysznił się nim i przechwalał, a czasami łgał jak wędkarz, myśliwy lub brydżysta, gdy rozwodził się nad zaletami i wyczynami swego psa.

Ale tym razem genialny Homo zbłądził się. Tak nam się wówczas wydawało, a przewodnik prawie to odchorował. Dopiero znacznie później mieliśmy się przekonać, że zawiodła nie inteligencja psa, lecz ludzi, którzy go nie zrozumieli.

Na razie jednak Homo, po rzetelnym obwąchaniu paska od zegarka, powiódł nas najpierw do wnętrza domu, obiegł parter,,

„obwąszył“ piętro, następnie wypadł z willi i ruszył ulicą Kryształową, a potem krążył wśród płataniny małych uliczek willowej dzielnicy, która obsiadła skarpe. Wreszcie wy dostał

się w dół na teren parku Morskie Oko, ciągnął już pewnie aż do ulicy Grottgera, przebiegł ją jak rakietą, doprowadził do Belweder- skiej, tam zgubił ślad, co jest w ruchliwym mieście nieuniknione i nie to niepowodzenie zaważyło na opinii Homo.

Nareszcie mogłem porozmawiać z właścicielką domu, panią Nelą Oziemkową, którą z początku zmuszony byłem potraktować szorstko, ponieważ nachalnie pchała się do pokoju, gdzie prowadziliśmy oględziny; chwyciła nas za rękawy, dając ciągle przestrogi, jak mamy się obchodzić z meblami, narzekając, że porysujemy parkiet, a równocześnie nie przestając lamentować nad tragicznym wydarzeniem. Miałem niejasne wrażenie, że nie tyle zależy jej na meblach i parkiecie, ile ciekawa jest, co robimy i o czym rozmawiamy.

— Za co mnie to spotkało, panie kapitanie? — zaszlochała znowu, gdy teraz poprosiłem ją na górę; dałem jej kilka chwil na biadanie. Bardziej wydawała się wstrząśnięta tym, że nieszczęście zdarzyło się w jej domu niż samym faktem morderstwa.

Jest szatniarką w restauracji hotelu „Wodnik“, pracę skończyła o czwartej rano. Około piątej przyjechała do domu.

Furtka nie była zamknięta na klucz, co ją rozgniewało, bo sądziła, że to roztrzepana i nie dbająca o ludzką krwawicę lokatorka znowu zapomniała ją zamknąć; niejednym raz już się tak zdarzało. Potem zobaczyła stratowane róże i zwaloną balustradę, ale to jeszcze jej nie zaniepokoiło; pomyślała, że wiatr strącił kawałek starej i słabej bariery, która padając zgmiotła kwiaty.

W domu także nic szczególnego nie zauważyła. Wzięła kąpiel, nastawiła budzik na jedenastą i położyła się spać. Gdy wstała, postanowiła zajrzeć do lokatorki, cierpiącej na zapalenie gardła. To był drugi dzień jej choroby; miała zwolnienie lekarskie na cztery dni; gospodyni chciała zapytać, czy

jej czego nie trzeba, no i przy okazji upomnieć za niezamknięcie na noc furtki. Zapukała, weszła nie czekając na zaproszenie i zobaczyła tamtą, siedzącą tak dziwnie w fotelu. W pierwszej chwili sądziła, że lokatorka zemdląca. Chwyliła ją za rękę, dłoń okazała się lodowata.

— Taka była pani pewna, że lekarz już nic jej nie pomoże?

— Zimna już była... przecież mówię wyraźnie !

Wybiegła z pokoju i zadzwoniła do pogotowia milicyjnego komendy miejskiej. To wszystko.

— Poznaje pani zmarłą?

Spojrzała na mnie okiem nastroszonej kokoszki; mieliśmy dokumenty zamordowanej, a twarz jej nie była zniekształcona, w tej sytuacji pytanie było zwykłą formalnością, natomiast jej wydało się bardzo dziwne.

— Oczywiście, to jest moja lokatorka, pani Czesia.

Zmarła nazywała się Czesława Antoniak, miała czterdzieści trzy lata, była niezamężna, samotna; pracowała jako urzędniczka w dziale zaopatrzenia firmy budowlanej „Tempo“. Dane odczytaliśmy z dokumentów, a gospodyni je potwierdziła.

Jak dawno znała Czesławę Antoniak? Niecałe dwa lata. Nela Oziemkowa zamieściła w gazecie ogłoszenie o pokoju do wynajęcia i wtedy między innymi zgłosiła się Czesława Antoniak.

Spodobała się gospodyni, bo wyglądała nobliwie, sprawiała wrażenie osoby kulturalnej, statecznej, no i nie bez znaczenia był fakt, że jest samotna. Antoniak zapłaciła za trzy lata z góry. Ile?

— Po osiemset złotych miesięcznie.

Znając ceny prywatnych czynszów w stolicy byłem pewny, że suma została znacznie zaniżona. Nela Oziemkowa spostrzegła moje niedowierzanie.

— Wie pan, zależało mi na pieniądzach, ale i na towarzystwie... Żeby było do kogo gębę otworzyć. Smutno tak samej... No i ona płaciła gotówką za całe trzy lata, od razu na rękę kilka tysięcy złotych, a inni dawali tylko za rok i to jeszcze grymasili... Do tego w siedemdziesiątym szóstym miała mieć już własne mieszkanie, spółdzielcze...

— To jednak zależało pani na pieniądzach.

— A komu nie zależy, panie kapitanie? Dom duży, dopraszał się remontu, potrzebowałam grosza... Dopiero niedawno zdobyłam się na nowe tynki, reperację dachu i kraty w oknach na parterze, bo poprzednie, jeszcze przedwojenne, do cna rdza zżarła...

Istotnie dom był duży, wewnątrz ładnie rozplanowane; cztery pokoje na dole, kuchnia i łazienka. Na piętrze trzy pokoje i także łazienka.

Na moją prośbę, ukrywając niechęć, Oziemkowa oprowadziła mnie po mieszkaniu; lśniące, jakby dopiero co froterowane parkiety, trochę antyków — nie jestem pewien, czy autentycznych, nie znam się na tym; zresztą nie było to wówczas istotne — dywany, ciężkie story w oknach i nastrojowe lampy. Na ścianach trochę angielskich sztychów, reprodukcje impresjonistów. Dziwne gusty jak na szatniarkę — pomyślałem mimochodem. Pedantyczny porządek sprawiał, że pokoje robiły wrażenie nie zamieszkanego i tylko klócił się z tym zapach, bardzo lekka, ale przecież wyczuwalna woń terpentyny, dymu aromatycznych papierosów i zwietrzałych perfum czy innych kosmetyków.

— Pewno pan pomyślał, siedzi baba na takim metrażu jak pies na sianie, sama nie wykorzysta i drugiemu nie da, a ludzie na klatki latami czekają — przejrzała mnie pani Nela.

— To pani sprawa — wzruszyłem ramionami.

— ...ale ten dom ma jeszcze dwóch właścicieli, a tak! Ja i dwaj kuzyni otrzymaliśmy go w spadku. Mury, a także ogród i nawet meble do podziału na troje. Oni teraz po zagranicach pracują, jak kontrakty im się pokończą i wrócą, będziemy dzielić.

—Nie chcieli wynająć? — zdziwiło mnie to; na ogół osoby wyjeżdżające na dłużej za granicę wynajmują nie tylko komfortowe wille, ale i skromne kawalerki; nikt nie rezygnuje z dodatkowego i wcale niemałego dochodu.

—Ale tam, pewno, że chcieli, ale jakoś tak... Jak im kandydat pasował, to mnie się nie podobał i na odwrót.

—Na tę lokatorkę wszyscy się zgodzili?

—To co innego, ja byłam na miejscu, nie tak jak oni i baczenie mogłam zawsze mieć, a widzi pan, co mnie spotkało!

Gorzej niż taki, co brudzi, płaci w kratkę i wyprowadzić się nie chce... Ale ja się co do niej omyliłam, srodze się zawiodłam na tej kobiecie, świeć Panie nad jej duszą, o nieboszczykach nie powinno się źle mówić.

—Przecież zapłaciła za trzy lata z góry.

— Zapłaciła, zapłaciła!... Ale to była, niech jej ziemia lekką będzie, niestateczna osoba, ot co!

—W czym się to wyrażało?

— Mężczyzn lubiła!

—Raczej naturalne...

—Pan kapitan sobie żartuje, a mnie wcale nie do śmiechu...

Kobieta z niej przecie nie pierwszej młodości, siwy włos na skroni, a ona nie raz, nie dwa chłopaczków sobie sprowadzała... Et! Mówić wstyd. Ja wyrozumienie mam, też sama jestem i wiem, jak samej kobiecie smutno jest żyć, we dwoje to i stękać lżej, jak, się to mówi... Niechby się jednego trzymała, wiekiem i kondycją odpowiedniego, ale gdzie tam. Jak ten motylek kapustnik i to z kim? Z kudłatymi wałkoniami... I doigrała się, nic tylko któryś z tych hipisów tak ją urządził.

Możebne, że z zazdrości, a możebne, że dla rabunku, na tę nędzę połakomił się... Jak już panu mówiłam, szatniarką w restauracji jestem od lat, a to nawet nie ES, tylko SPEC-kate-goria, uważa pan? Spec! To ja się tam na tych perwersiaków napatrzę...

—Ona tam przychodziła?

—Ale, co też pan! Nie stać ją było na taki szyk, bo z czego? A te kochańce to też z fundowaniem się nie kwapiły.

Uczciwszy uszy, na wyro do niej, to tak, ale do speclokalu pieniądz wydać, to bynajmniej. Ja panu tylko taki przykład dałam, że do niej podobne do tamtych hotelowych startowały.

—Znała ich pani?

—A skąd! Panie, trochę to ona mnie się krępowała, a do tego ja nocami pracuję... Czasami tylko jakiegoś kudłacza spotkałam niechcący, jak się po korytarzu czaił, znaczy się do toalety przemykał albo schodami... Raz wzięłam się na odwagę i powiedziałam: „Pani Czesiu, ja tam niczym materacem nie jestem, ale zdaje się, że tu coraz innego kłaczastego widuję...” Panie kapitanie, to tałatajstwo nawet trudno odróżnić jednego od drugiego, pośród tych kudłów i oblicza, jak na

leży, nie widać. Mówię: „Bój się Boga, kobito, same my tu mieszkamy, nie sprowadzaj pani coraz to innego, bo jeszcze ostatnią koszulę z grzbietu ściągnie albo i kark skręci...” Tak mi się w złą godzinę powiedziało. A ona tylko się zaśmiała: „Pani Nelu kochana, koledzy z biura czasami do mnie zajrzą — i to wszystko... Pani się coś w oczach troi!” Koledzy! Mansony jakieś! Mnie się tam nie przewidywało, panie kapitanie, oczy to ja na swoim miejscu mam, a i uszy, chwalić Boga, także samo...

W to zapewnienie wierzyłam.

—Ale co było robić? Czysz zapłacony z góry, a ja już go rozpotrzebowałam. Żeby wymówić, trzeba pieniądze zwrócić, a skąd je wziąć? Jak zbawienia czekałam, aby wymieszkała swoje i poszła

z Bogiem, a tu masz...

—Miała pieniądze?

—Jakie tam pieniądze, niby z czego?

Z tych dwa czterysta brutto miesięcznie? Toż na to spółdzielcze mieszkanie latami skrobała, a i ubrać się lubiła, zabawić, wypić... Ale kapitanie, jeśli jaka wywłoką się znęci, to i na byle co się połaszczy, nie? No i sam pan widzi, jaki jej melanz w pokoju zrobił... Jak to zobaczyłam, mało trupem nie padłam, no i jak ja teraz żyć tutaj sama jedna będę w tych pustych landarach, a wieczorem? Jezusie Nazareń- ski! Nic, tylko przyjdzie ze strachu za mąż wyjść... Co pan tak na mnie patrzy? Dopiero minęło mi pięćdziesiąt lat.

Wyglądała młodziej; niebrzydka, ze starannie umalowaną twarzą, zadbana, w szykownym kostiumie z kremowego jedwabiu.

—Chętnych do małżeństwa to nawet mam, tylko wciąż mi się wydaje, że oni bardziej łakomi na mój kawałek willi niż na mnie... Mężczyźni, panie, to wyrachowana nacja, nie mówiąc o tu obecnych — posłała mi kokieteryjne spojrzenie spod kapiących od tuszu rzęs; wdzięk miała nieco przyciężki.

— Już chyba prędzej psa kupię, koszt mniejszy, a lepiej przypilnu-je... — zwierzała się w najlepsze.

—U pani nic nie zginęła?

—Nie... Goły rozboju się nie boi. bo co u mnie można wziąć?

Chyba lodówkę albo

telewizor czy radio, no i te trochę ciuchów, ale dzięki Bogu wszystko jest... Niektóre ludzie myślą, że szatnię w lokalu prowadzić, to taki znów rarytas, a naprawdę — nie żadne to kokosy — dorzuciła wyraźnie już pod moim adresem.

Nasuwało się przypuszczenie, że morderstwa dokonano podczas rabunku, a w każdym razie w związku z nim; dlaczego jednak sprawca oszczędził inne pomieszczenia, a splądrował jedynie pokój zajmowany przez Czesławę Antoniak?

Leszek Biernat miał już na ten temat zupełnie zgrabną teorię; tu zakradł się szlamiarz. Dostał się na taras po rynnie lub po hakach odgromnika, wygniół szybę i otworzył

okno. W tym czasie kobiety w pokoju nie było; może się kąpała, może zeszła po coś do kuchni,

— Posłanie jest nie tknięte, więc nie zaskoczył jej we śnie

— przyznał technik.

— Zastała go przy robocie — podkreślił Leszek. — Może zaczęła krzyczeć, więc uderzył ją, chcąc pewnie tylko ogłuszyć, ale cios okazał się zbyt silny. W rezultacie pękły kręgi, co spowodowało śmierć. Złodziej wpadł w panikę, rzucił

się do ucieczki, ale już nie skorzystał z poprzedniej drogi, wybrał najprostszą, to znaczy przez balustradę; ogrodzenie nie wytrzymało ciężaru i zwałił się wraz z kawałkiem bariery.

To by wyjaśniało, dlaczego zaniechał plądrowania innych pomieszczeń.

Dobrze, ale w jaki sposób kobieta znalazła się w fotelu?

Leszek i na to miał

— zupełnie logiczne wyjaśnienie. Złodziej nie zamierzał przecież zabijać, gdy kobieta upadła, podniósł ją i umieścił w fotelu; dopiero wówczas zorientował się, że ona nie żyje.

Jednak dwa szczegóły nie pasowały do tej, przyznając, dość zgrabnej całości. Pierwszy: ten nieprawdopodobny bałagan w pokoju, wszystko powyrzucane na podłogę, prawie żaden przedmiot nie leżał na swoim miejscu. Wyglądało, jak gdyby sprawca czegoś szukał, przeglądając drobiazgowo rzeczy, od garderoby i bielizny poczynając, a kończąc na najmniejszym świstku. Szlamiarze tak nie postępują. Przede wszystkim zabierają pieniądze i

małe, za to cenne przedmioty; z rzeczy większych wyjątkowo będzie to kosztowne futro, ale już bardzo rzadko radio czy magnetofon, chyba że jakiejś nadzwyczajnej marki.

Po drugie tę klarowną hipotezę Leszka psuła butelka koniaku i samotny kieliszek na stole. Wyglądało to jak kadr doklejony z innej sekwencji, jak dekoracja dostawiona już post factum.

Oczywiście to było tylko moje odczucie i nie podważało wersji Leszka; może coś rozjaśni tutaj ekspertyza, ale na nią wypadało poczekać.

Leszek pojechał na pocztę, aby przejrzeć spis warszawskich znaków kodowych. Zadzwoił do mnie stamtąd.

— Grzegorz, kod 0230 815 to wszystkiego jedna ulica...

Umówiłem się z nim w urzędzie pocztowym, w rejonie którego leżała ta ulica. Gdy przyjechałem, Leszek zdążył już przekonać do naszej misji kierownika i właśnie stroszył swe najpiękniejsze pióra przed urzędniczką. Była nim oczarowana.

Ubawiło mnie to trochę, ale musiałem przyznać, że miał cenny dar pozyskiwania sobie ludzi, a to w naszej służbie odgrywa niemałą rolę.

— Profesor Zalewski, Zakłady Garmazeryjne i Zakłady Introligatorskie — stwierdziła urzędniczka po sprawdzeniu rejestru.

— Nikt więcej? — z niedowierzaniem upewniał się Leszek, jak gdyby dwa zakłady produkcyjne to jeszcze było mu mało.

— Tylko trzech abonentów „Życia Gospodarczego“ !

Zrzedły nam miny; los przestał nas rozpieszczać i tak oto stanęliśmy oko w oko z szarą milicyjną rzeczywistością, a owa rzeczywistość to sprawdzanie najmniej kilku setek pracowników, z których każdy mógł mieć dostęp do tej gazety.

— Tośmy ugrzęźli na amen — westchnął Leszek, gdy szliśmy już ulicą. — Od czego zaczynamy?.

— Nie od czego, tylko od kogo. Od profesora.

— Grzesiek, profesor Zalewski to wybitny ekonomista. Wiesz, byłem jego studentem!

— Co ty powiesz? Popatrz, a zupełnie tego po tobie nie widać! I niby dlatego on jest taki wybitny?

— Nie wygłupiaj się, ogólnie szanowany gość, chyba nie sądzisz...

— Nie sądzę, ale trzeba wyjaśnić, co robi z „Życiem Gospodarczym“, gdy już je przeczyta.

— Wyrzuca! I co w tym dziwnego? Ja także wyrzucam gazety i nic z tego nie wynika.

— Gdyby znaleziono na miejscu przestępstwa gazetę z twoim kodem, coś by musiało wyniknąć! Przynajmniej wyjaśnienie...

— Jak to chcesz zrobić? — zatroskał się Leszek; pomyślałem, że po tylu latach Leszek wciąż jeszcze czuje mores przed profesorem. Odruch warunkowy byłego studenta, chociaż mogła to być także sympatia.

— Zwyczajnie. Zaraz poszukamy automatu.

Najprostsze pomysły okazują się najskuteczniejsze. Szczęście nam sprzyjało. Uliczny automat wyjątkowo nie „połknął“ jedynej złotówki, jaką dysponowaliśmy.

— Słucham, Zalewski — odezwał się w słuchawce męski głos.

— Kapitan Grzegorz Czarnota ze służby kryminalnej... —

przedstawiłem się. — Mam ważną sprawę... Kiedy pan profesor będzie mógł mi poświęcić trochę czasu? — W słuchawce zaległa cisza; czekałem. — Halo!... — zawołałem w końcu.

— Tak, tak, ja słucham — powiedział Zalewski. — Po prostu, pan wybacz, nie bardzo rozumiem, o co chodzi... Ale... no cóż... A skąd pan dzwoni? ... Ach tak, to prawie po sąsiedzku, proszę zatem do mnie... — podał adres.

— Jestem z kolegą.

— Proszę więc przyjść z kolegą.

Drzwi otworzył sam profesor. Szpakowaty pan — o takich zwykło się mówić: w sile wieku. Mógł mieć po pięćdziesiątce i był absolutnym zaprzeczeniem mola książkowego; rosły, dobrze zbudowany, sprężyste ruchy.

Żeglarz albo tenisista — pomyślałem.

Wprowadził nas do gabinetu. Ciemnowy, obszerny pokój. Ściany od podłogi aż do sufitu wymurowane książkami. Biurko zavalone papierami, maszyna do pisania z zaczętych tekstami — widać było, że oderwaliśmy go od pracy.

— Trochę koniaku? Dobrze robi na ten upał. — Nie czekając na odpowiedź podał kieliszki. — To tak wyglądają młodzi oficerowie służby kryminalnej? — przyjrzał się nam życzliwie, miał głęboko osadzone, bystre oczy.

— Osobliwie? — Leszek poczuł się nieco urażony, widocznie spodziewał się, że profesor go pozna.

— Nie miejcie mi za złe! Jestem wciąż ciekaw ludzi, a dotychczas nie zdarzyła się okazja, żeby bliżej zetknąć się z oficerami milicji... Czym mogę panom służyć?

— Popelniono morderstwo... — zacząłem niezbyt zręcznie, sam nie wiem dlaczego, bo przecież profesor nie budził we mnie onieśmienia.

— I ślad prowadzi do mnie? Panowie! Zaczynam się czuć nieswojo...

— Panie profesorze, nasz ślad to po prostu „Życie Gospodarcze“ z dziesiątego stycznia, z kodem pocztowym numer 0230 815. — Wyjaśniłem pokrótce, o co chodzi. — Mam nadzieję, że nie weźmie mi pan za złe...

— Ależ... — przerwał, bo do pokoju wpadł długowłosego chłopak i klepnął profesora po ramieniu.

— Stary, zobacz, jakie masz genialne dziecko! — Teraz dopiero spojrzał na nas.

— O, przepraszam, nie spostrzegłem twoich gości!

— Mój syn, panowie z milicji! — przedstawił profesor. —

Młody człowiek jest właśnie po sesji — powiedział do nas, i do syna: — Pokaż indeks, obwiesiu! No, nieźle, nieźle! — ucieszył

się. — Słuchaj, gdzie są zszywkami „Życia Gospodarczego“, mamy chyba wszystkie numery, prawda?

— W tonie brzmiał lekki niepokój.

— Gdzieś powinny być, potrzebne ci?

Profesor wyjaśnił mu powód naszych odwiedzin, syn bez słowa wyszedł z pokoju. Niebawem wrócił z gazetami.

— Ratuję cię od mamra, stary bałaganiarzu — powiedział, zwalając na ojcowskie biurko zakurzony komplet. Egzem plarz z dziesiątego stycznia znajdował się na swoim miejscu.

Następny prenumeratorem — Zakłady Intrologatorskie.

Może to właśnie tu? — myślałem. — Przecież gazeta została pocięta gilotyną! Co prawda gilotyna do cięcia papieru to przyrząd używany niemal w każdym większym biurze.

Dyrektor był „na chorobowym“. Od kiedy? Leży w szpitalu od maja. Zawał. No, tego mieliśmy już z głowy.

Zastępca wyjechał na konferencję do Zjednoczenia, przyjęła nas personalna.

— Kto u was prenumeruje „Życie Gospodarcze“?

— Nadzór techniczny. Gazety leżą w sekretariacie, kto chce, czyta.

Poszliśmy do sekretariatu. Mają zszywkami - ki?

Nie mają. Składają na kupę, jak się ueziera większa, przekazują na makulaturę. Ilu

pracowników liczy zakład?

Razem z urzędnikami dwieście pięćdziesiąt osób. Kto ma dostęp do gilotyny? Oczywiście wszyscy introligatorzy — drobiazg!

Dwustu piętnastu ludzi. A reszta — jeśli chce — to też.

— Beznadziejne — załamał się Leszek.

Nie dałem za wygraną. On był błyskotliwy, ja uparty.

Poszliśmy do zakładów produkcyjnych. Nie wspomniałem o morderstwie ani personalnej, ani pracownikom. Chcę się dowiedzieć, gdzie zostało pocięte „Życie Gospodarcze“ z dziesiątego stycznia — i —tyle.

— Ile jest gilotyn w hali?

— Trzydzieści — majster zlustrował mnie znad opuszczonych na nos szkieł.

— Muszę wiedzieć, czy to przycinano u was — podałem mu kilka kawałków gazety.

— Może być, że u nas... — poprawił szkła, długo oglądał

skrawki i kiwał głową, jakby trzymał w rękach jakiś dziwoląg; nie rozumiałem, co go tak zafrapowało w wymiętych kawałkach gazety. Rozłożył je na stole, wygładzał, przejechał palcem po krawędzi, podniósł pod światło, macając brzegi. Mlaskał, mruczał, wreszcie wydał pogardliwie usta:

— Może i u nas, ale... to przycinał palant, nie fachowiec!

Porządny introligator wstydziłby się czegoś takiego. U mnie na zakładzie żaden uczeń nie ma prawa tak sfuszerować!

Byłem mu cholernie wdzięczny; nawet nie wiedział, jaką przysługę nam oddał. Zanim rzecz potwierdzili eksperci, oparłem się na opinii starego i wykluczyłem jego introligatorów z kręgu podejrzanych. Miałem zatem „z głowy“ dwustu piętnastu facetów! Ominęły nas wywiady, opinie, sterty papierów, nużące rozmowy. Leszek niemal z miłością popatrzył

na starego majstra i miał taką minę, jakby go pragnął

uściskać. A majster osobiście poprzycinał nam próbki, podyktował numery fabryczne gilotyn i nawet przyniósł koperty, abyśmy mogli to porządnie zapakować.

Znowu wyszliśmy na rozpaloną słońcem ulicę; skwar był

nieznośny, drgało rozprężone powietrze, nie rzeźwił nawet powiew wiatru.

Zakład garmazeryjny; buchnął na nas zaduch jak z brudnej, źle wentylowanej jadłodajni. Ciężki odór zjełczałej frytury, skisłych jarzyn, nieświeżego mięsa — zresztą czort wie czego!

Zatykało oddech, przyprawiało o mdłości. Huczały agregaty chłodnicze. Leszek odkrywczostwierdził, że kombinat śmierdzi na całą ulicę.

— A potem człowiek to je! — prychnął z obrzydzeniem. —

Skreślam taką robotę.

— Śmierdzą chyba tylko odpadki — pocieszałem nie tylko jego, ale i siebie. Gospodarzyłem sam i często kupowałem gotowe wyroby garmazeryjne.

— Mowa! Dlaczego trzymają odpadki w pobliżu przetwórni?

Jeszcze jaką francę wyhodują! Co do cholery robi tutejszy dzielnicowy, a San-Epid? — pienił się mój przyjaciel.

— Nie szalej, nikt cię nie zmusza do jedzenia właśnie ich przetworów — perswadowałem perfidnie. Wiedziałem, dlaczego tak się wścieka; on kochał flaki, peklowane ozory, galaretki, a teraz — czułem to — do ust nie weźmie ulubionych specjałów.

Przyjął nas dyrektor, facet o przyjemnej powierzchowności; nie miał chyba

jeszcze pięćdziesiątki; siedział w rozchełstanej koszuli za olbrzymim mahoniowym biurkiem i

dyszał jak ryba. Mimo szumią-

cego wentylatora, w pokoju nie było czym oddychać. W powietrzu wisiał przeredzony odorek kombinatu.

—Czy u was musi tak śmierdzieć? — napadł na niego Leszek; skarciłem go wzrokiem za tak niedyplomatyczny wstęp. Obrazi się dyrektor i nie pomoże. Tu trzeba przyjaźnie, bo inaczej nasza misja nie ma widoków powodzenia.

—Widzicie, panowie... — ożywił się dyrektor, wcale nie dotknięty; no i rozwinął się! Dał imponujący wykład na temat specyfiki zakładu, mówił o woniach, zapachach albo wytwornie: o „bukiecie“! Sypał liczbami, procentami, roztrząsał problemy technologiczne. To była mowa godna Cyncerona; myśli rzucone na wiatr, bo zrozumiałem z niej tylko tyle, że smród, pardon, bukiet nieodłącznie wiąże się z procesem produkcyjnym, jest rodzajem immanentnego zła, ale to tylko zło pozorne, bo cóż warte jest jadlo bez właściwego mu zapachu. Amen!

Olśnił mnie erudycją, ale nie przekonał. Widocznie byłem za mało kompetentny, bo uparcie mi się wydawało, że kombinat śmierdzi, a nie powinien.

—Ale czym mogę panom służyć? — dyrektor oderwał się z wyraźnym wysiłkiem od widocznie ulubionego tematu.

— Na Kryształowej popełniono morderstwo... — Wyjaśniłem mu, co nas interesuje.

Opadł na fotel, pocił się, teraz już zupełnie przypominał wyrzuconą na piasek rybę. Skrzywił się i przycisnął dłoń do serca.

—Co panu jest? — przestraszył się Leszek.

—Mam kłopoty z krążeniem... upał mnie męczy... — odetchnął

głęboko, pociągnął nosem i wreszcie przyznał z niesmakiem, że powietrze w zakładzie jest jednak niezdrowe. Zaweźwał

sekretarkę i zadysponował coś do picia, na szczęście nie przyszło mu na myśl, aby wypróbować na nas wyroby garmażeryjne kombinatu.

„Coś do picia“ okazało się doskonałym napojem owocowym z lekką domieszką chyba wermutu i koniaku; podane to zostało w wysokich, oszronionych szklankach, z plastrami cytryny i kostkami lodu. Delicje!

—Pyszota! — mlasnął Leszek i przypiął się do szklanki.

—Specjalność mojej sekretarki — pochwalił się dyrektor.

—Sekretarka to wspaniałe urządzenie — rozmarzył się Leszek, bezwstydnie nalewając sobie drugą porcję z wysmukłego dzbanka.

—Leszku, pozwól, zabieramy dyrektorowi czas...

—Ależ jestem do dyspozycji — uspokoił mnie dyrektor. —

Słucham dalej, jakim sposobem gazeta z mojego zakładu wywędrowała na tę... Kryształową!

— Tego właśnie chcemy się dowiedzieć.

—Wydaje mi się to zbyt... zbyt fantastyczne.

—Zachował się na niej numer kodu pocztowego — cierpliwie wyjaśnił Leszek.

—A... to co innego... — Chyba na skutek upału dyrektor miał

wyraźnie spóźniony refleks, bo dopiero po dobrej chwili olśniło go, że taki sam kod ma cała ulica.

— Oczywiście, ale w tej chwili interesuje nas gazeta, którą otrzymuje pański kombinat.

—Ta gazeta jest abonowana na moje nazwisko — uśmiechnął się kwaśno. Mówił prawdę. W rejestrze poczty, obok adresu zakładu, figurowało jego nazwisko: Waclaw Nowak.

— Kto jeszcze ma do niej dostęp?

—Nie wiem — stęknął; znów nacisnął taster dzwonka, przywołując sekretarkę.

— Pani Anno, może pani łaskawie wyjaśni, kto czytuje moje pisma?

Podobnie jak w zakładzie introligatorskim, prasę przechowywano w sekretariacie; kto chciał, czytał. Zszywek nie robiono. Zanim stare gazety oddano na makulaturę, mogły być one używane lub zabierane do różnych celów, praktycznie rzecz biorąc, przez wszystkich urzędników, bo wszyscy mieli nieograniczony wstęp do sekretariatu. A gilotyny?

— Jest coś takiego w naszej powielar- ni — powiedziała pani Anna.

Było! Kombinat przetwarzał nie tylko mięso i jarzyny, ale i hałdy papieru, cięte, zszywane, oprawiane, klejone w postaci pism okólnych, instrukcji, zarządzeń, spisów receptur — jednym słowem to wszystko, na co zużywa energię nadmiar urzędników, aby uzasadnić potrzebę swego istnienia.

Teraz Leszek pojechał do komendy przejrzeć dossier szlamiarzy, a ja do firmy budowlanej „Tempo“.

Zaraz na samym wstępie natknąłem na znajome twarze. Patrzą i oczom nie wierzę; Bartek — majster od wykrywania przestępstw gospodarczych, a także koledzy ze stołecznej. Jak się okazuje, już trzeci dzień ryją tutaj razem z inspektorami Najwyższej Izby Kontroli i ciekawe rzeczy im wychodzą, tak ciekawe, że dzisiaj z samego rana przymknęli zaopatrzeniowca i dwóch urzędników z tego działu, a na tym jeszcze nie koniec. Kroi się afera z gatunku ośmiornic.

— O jedenastej zgarnęliśmy cały personel salonu branży budowlanej — uświadamia mnie Bartek.

— Wiesz, taka drobnica: szpadle, styliska do łopat, gwoździe, haki, jednym słowem galanteria.

— To na szpadlach też można?... — zdziwiłem się niemądrze.

— Można! Nastukali około miliona. Na razie tyle się doliczyliśmy... A ty po co tutaj, okradli, zabili kogo?

— Zgadłeś, urzędniczkę. I to z działu zaopatrzenia... —

pokrótce powiedziałem mu, o co chodzi.

— Grzegorz! Nie puszczaj pary, że z niej denatka, dopóki nie przymknę całej szpany. To nie powinno już długo potrwać.

— Stary, zamordowano człowieka, to nie szpadel ani stylisko, tego nawet nie da się przeliczyć na miliony, przykro mi, ale...

— Właśnie. Jak ci moi sprawiedliwi dowiedzą się, że ona już nic nie powie, gotowi ubrać ją w te miliony.

Zwłoka była mi nie na rękę, ale musiałem przyznać mu rację; należało wybrać jakiś rozsądny kompromis w tym zderzeniu interesów służby gospodarczej

i kryminalnej. Na szczęście Antoniak miała jeszcze dwa dni zwolnienia lekarskiego i jej nieobecność w firmie była usprawiedliwiona, przynajmniej przed personalną, podobno bardzo dbałą o dyscyplinę pracy.

Zatem wycofałem się, a Bartek przyrzekł zakończyć swoją sprawę w ciągu tych dwóch dni i przy okazji przyjrzeć się dokładnie osobie Czesławy Antoniak, widzianej oczyma innych.

A może śmierć tej kobiety i niemal równoczesne ujawnienie nadużyć w zakładzie, gdzie pracowała, to nie przypadek? Dziwny byłby taki zbieg okoliczności. Ciekawe, co też za dwa dni powie mi Bartek.

Tymczasem otrzymałem protokół sekcji zwłok; od chwili zgonu Czesławy Antoniak do naszego przybycia na miejsce zbrodni upłynęło około dwunastu godzin. Należało zatem przyjąć, że zabójstwa dokonano poprzedniego dnia koło jedenastej wieczorem.

— Zegarek wskazywał dziesiątą czterdzieści — przypomniał

Leszek złotą doxę znaną w trawie. — Grzegorz, ten zegarek zgubił morderca.

Lekarz sądowy potwierdził wstępne przypuszczenia. Przyczyna zgonu: przerwanie rdzenia między pierwszym a trzecim kręgiem.

Cios zadano narzędziem ostro-krawędziastym. Śmierć nastąpiła natychmiast. Ekspertyza kamieni w pierścionkach zgadzała się z rewelacjami Leszka ; w skromne srebro oprawiono dwa brylanty, rubin i szafir. Rzeczoznawca oszacował je na łączną sumę stu czterdziestu tysięcy złotych. Nocny gość, domniemany sprawca zabójstwa, nie zabrał ich, stracił zapewne głowę z przerażenia albo zmyliła go oprawa. Uznał je za świecidełka, jakie za kilkaset złotych można kupić w ORNO czy sklepach Jubilera.

— Głupstwa mówisz — przerwał mój wywód Leszek. — On w ogóle musiał nie zauważyć tych pierścionków... Może Bartek odkryje nam, skąd Antoniak miała pieniądze na taką biżuterię, przecież chyba nie z urzędniczej pensji.

—Bardzo możliwe, że brała udział w tych złodziejstwach. Na ogół nikt nie podlicza karatów na rękach kobiet, więc musiała mieć szczególne powody, aby je ukrywać... — Obejrzeliśmy jeszcze raz te błyskotki.

W sumie majątek zamordowanej kobiety, zarabiającej dwa tysiące czterysta złotych miesięcznie — netto otrzymywała dwa tysiące sto — oszacowano na pięćset trzydzieści tysięcy złotych. Składało się na tę sumę sto czterdzieści tysięcy ulokowane w owych kamieniach, pięćdziesiąt cztery tysiące wkładu do spółdzielni mieszkaniowej na mieszkanie własnościowe i reszta złożona na książeczkę oszczędnościowej PKO; książeczkę założono na hasło.

—Nie zdobyła tych pieniędzy uczciwą pracą — Leszek był pewny, że dorobiła się na nadużyciach w firmie. — Nikt mi nie powie, że to rezultat oszczędnego trybu życia.

Tak, pochodzenie tego majątku wydawało się bezsporne, zastanawiało co innego: brak jakichkolwiek zapisków. Nie znaleźliśmy żadnego notesu ani kalendarzyka, jaki na ogół posiada niemal każdy człowiek. Nic! Żadnej kartki lub zeszytu z numerami telefonów albo nazwiskami, żadnego adresu przyjaciół, znajomych, kolegów.

Wreszcie natrafiliśmy na jakiś ślad: kwit z adresem. Facet nazywał się Jerzy Władeczek, dane te widniały na zmiętym i rzuconym w kąt rachunku za elektryczność i gaz.

—Czysty w formie przypadek samotności w wielkim mieście, doskonała alienacja... — pomrukiwał z niedowierzaniem Leszek.

— I jedyna bliższa istota to człowiek, za którego płaciła rachunki.

—Sprawdzisz tego faceta — zepchnąłem to Leszkowi; byłem skłonny przypuszczać, że to jej przełożony, który się nią wyręczał. Nieodparcie nasuwało się podejrzenie, że ktoś przeszukał pokój i zabrał te tak bardzo brakujące nam osobiste zapiski. A ów bałagan to rezultat gorączkowych poszukiwań.

—Tego nie zrobił nasz szlamiarz, czuję w tym rękę pani Neli Oziemkowej,

Grzesiu! — z absolutnym przekonaniem utrzymywał Biernat.

— Po co miałyby to robić?

—To może być dość proste... Wzięła sobie co nieco na otarcie łez, a przy okazji zamieszała, niszcząc papierzyska, żeby nie poszło na nią...

— I sądzisz, że po znalezieniu trupa spokojnie zabrała się do grabieży?

—Nie wiem, czy zupełnie spokojnie, ale chyba nie była zbyt wstrząśnięta, a mając takie alibi, mogła się nie bać.

—Leszek, odruchem każdego człowieka...

—A kto ci powiedział, że pani Nela to właśnie „każdy człowiek“? Ona mi wygląda na zimną i

szczwaną babę.

—Jeśli nawet... Czy to wystarcza, żeby uważać ją za hienę okradającą zmarłą?

—A jeżeli w jej pojęciu to nie kradzież, tylko rekompensata za tolerowanie uciążliwej lokatorki i za wszystkie nie-przyjemności, na które została przez nią narażona...

Przypomniało mi się zachowanie szatniarki: jak się trzęsła, aby nie uszkodzić jej mebli, nie zarysować podłogi. Była jakaś racja w tej bezlitosnej ocenie.

Bartek dotrzymał słowa, po dwóch dniach zdał mi wyczerpującą relację. Wyglądało na to, że Czesława Antoniak nie miała nic wspólnego z nadużyciami w firmie. Zaskoczył mnie tym absolutnie.

—Jednym słowem uczciwy człowiek wśród łapowników i złodziei?

—nie mogłem uwierzyć.

—Też się zdarza — uśmiechnął się Bartek — lecz ona na tym stanowiska nie miała żadnych możliwości, jasne? Idealny brak pokus!

—Złodzieje i ci, którzy nie mają okazji kraść! Czy wolno nam tak klasyfikować, ludzi?

—Nie ludzi w ogóle, mówię o konkretnej kobiecie. Natomiast na temat jej uczciwości — poza tym, że stwierdzam rzetelnie sprawdzony fakt braku okazji do nadużyć — mam bardzo określony pogląd, a ty możesz ją sobie nawet kanonizować. Cześć!

—Poczekaj!... Co mówi o niej ten zaopatrzeniowiec?

—
Brzydko!

—
Mianowicie?

—
Stara kurwa.

—
Rzeczywiście nieładnie... Miał na myśli jej nadmierne upodobania do mężczyzn?

—
Miał na myśli jej charakter. Twierdzi, że domagała się od niego doli za milczenie. Podobno wywęszyła jego kan- ty.

—
Jakim cudem?

— Sam nie umie powiedzieć. Tak mu się wydaje... Jedno jest pewne, że ani on, ani jego kompania nie opowiadali się przed nią, w jaki sposób doją przedsiębiorstwo.

—
Ten magazynier już nic nie ma do stracenia?

—
Nie. Najmniej dycha — flegmatycznie ocenił Bartek.

—
Może mści się na niej, oskarżając o szantaż, może jej po prostu nie cierpi?

—
Jej nikt nie cierpi. Paskudną opinię mają o niej nie tylko złodzieje. Cała porządna reszta także. Lizus, donosiciel, dyrektorskie ucho — to najłagodniejsze określenia.

—
Dyrektor maczał palce w aferze?

Nie... ale tolerował cholerny bałagan.

—

Jaką funkcję pełni w firmie Jerzy Władeczek?

—

Nie spotkałem się z takim nazwiskiem, ale na wszelki wypadek sprawdź u personalnej.

—

Nie wiesz, czy Antoniak była to- warzyską osobą?

—

Nie wiem! Ale ludzie szcękają na dźwięk jej imienia, więc nie sądzę, aby się z nią towarzysko zadawali.

—

To inspektorzy NIK-u rozbebeszyli całą aferę?

—

Nie... ktoś zawiadomił prokuraturę.

—

Anonim?

—

List podpisany imieniem i nazwiskiem, z adresem nadawcy... Facet nazywa się Kazimierz Karolak.

—

Nie fikcyjne dane?

—

Nie. Gość naprawdę istnieje. Prowadzi hodowlę nerek.

—

Rozmawiałeś z nim?

Bartek jeszcze się z nim nie widział.

Karolak w liście postawił warunek: będzie mówił z władzami dopiero wówczas, gdy prokurator aresztuje winnych.

— Ciekawe... Więc kiedy chcesz się z nim spotkać?

— Za dwa, trzy dni. Wcześniej nie da rady.

— Skąd specjalista od zwierząt futerkowych jest tak dobrze poinformowany o świństwach w budowlance? — przyciskałem kolegę.

— Ach ty glino! Co za podejrzliwość! Zamiast pochwalić porządnego człowieka za obywatelską postawę... — roześmiał się Bartek. — Nie wstyd ci?... Myślisz, że mogła go uświadomić twoja denatka?

— No, właśnie.

Do faceta od nerek pojechaliśmy obaj. Mieszkał w Wawrze; półtora tysiąca metrów kwadratowych ogrodzone parkanem z siatki; ogrodzenie wzmocnione potrójnym szlakiem drutu kolczastego, cały teren obsadzony latarniami silnymi jak ju-pitery. Wewnątrz miasteczko boksów, wybiegów i wąskich przejść między klatkami. Z dala stał okazały dom w dobrze utrzymanym ogrodzie, nie docierał tu ostry odór mięsożernych gryzoni, panujący na farmie. Gdy Bartek przedstawił się, Karolak wyraźnie zeszywniał; Było to widoczne, mimo że usiłował panować nad sobą.

Czego on się tak boi? — pomyślałem.

— My w związku z listem, jaki pan wystosował do prokuratury... — zagaił Bartek i dopiero teraz spostrzegł, jak dziwnie reaguje tamten. — Co panu jest?

— Mnie nic — bąknął Karolak. — A... panowie z prokuratury?

Bartek, chociaż zdziwiony, jeszcze raz wymienił swe nazwisko, stopień i okazał metalowy znaczek rozpoznawczy.

— Jeśli to panu nie robi różnicy, wolałbym obejrzeć dokumenty... — wydukał Karolak.

Bartek podsunął mu pod nos legitymację służbową; tamten wgrzył się w te kilka linijek okazanego dokumentu, jakby to była tabliczka z pismem klinowym.

— Dziękuję — powiedział wreszcie. — Więc czego panowie sobie życzą?

Trochę nas zatkało.

— Dzięki pana obywatelskiej postawie... — wlaźł na koturny Bartek — winni zostaną ukarani.

— Tylko po to panowie fatygowali się do mnie? — W głosie nie wyczuliśmy przyjaznego tonu; coś tu było nie w porządku.

Bartka lekko zamurowało.

— Nie tylko — przejąłem inicjatywę. — Zna pan Czesławę Antoniak — nie pytałem, twierdziłem.

— Pierwszy raz słyszę to nazwisko... Nie, nie wiem, kto to jest.

— Urzędniczka przedsiębiorstwa budowlanego „Tempo“.

Norkarz spojrział na mnie baranym wzrokiem.

— Nic nie wiem o tym przedsiębiorstwie! — wyskandował po chwili.

— Z listu wynika coś zupełnie przeciwnego.

— List to list... — stwierdził z wahaniem i nagle: — Czy wiecie, dlaczego ludzie tak niechętnie udzielają wam informacji?

No i dowiedzieliśmy się, dlaczego; jesteśmy nietaktowni, prawie chamy, oczywiście nie użył tego słowa, wścibscy, traktujemy solidnych obywateli jak potencjalnych przestępców, nachodzimy w ich porządnym domach, kompromitujemy przed sąsiadami i otoczeniem. Przecież afery już zlikwidowana, a my chcemy wyciągnąć coś jeszcze i nie wiadomo co, bo wciąż nam mało wiadomości, a ludzie tego nie lubią, zaś on osobiście tego nie cierpi i niech go pokręci, jeśli jeszcze raz będzie na tyle głupi, żeby zajmować się czymkolwiek oprócz hodowania nerek! Chyba z kwadrans tak nas ustawiał, wreszcie zamilkł. W

obrażone usta wetknął papierosa, strzelił zapalniczką. lekko drżały mu ręce.

— O... najmocniej przepraszam! — skwapliwie podsunął nam papierosy, podał ogień. — Panowie wybaczą, trochę się uniosłem, ale człowiek ma tyle kłopotów... Choruje mi samica medalistka... Naprawdę nie chciałem nikogo obrazić!

Obrazić! Zastanawiał mnie brak logiki w jego zachowaniu.

Teraz żałuje, że pomógł zdemaskować złodziei? A może ktoś go zastraszył? Ale kto? Zaopatrzeniowiec?

Magazynier, paru urzędników i dwie ekspedientki? Bzdura. To była sytuacja w sam raz do fałszowania faktur, rachunków i stanu magazynu.

— Ale co ma wspólnego z... z moim listem urzędniczka, o którą panowie pytali? — Wydało mi się, że interesuje go ona bardziej, niż chciał to wyrazić.

— Pracuje w tej firmie, a raczej pracowała... — dodałem w nadziei, że może zaciekawi go, czy nie została aresztowana; nie, nie zapytał o to. Nie przejawiał już najmniejszego zainteresowania ani tą, ani żadną inną osobą z przedsiębiorstwa „Tempo“.

Czytałem jego list przysłany do prokuratury, krótki i sformułowany bardzo lakonicznie. Wymienił tylko jedno nazwisko, właśnie zaopatrzeniowca.

— Mariana Lateckiego pan zna? — Byłem bardziej ciekaw jego reakcji niż tego, co odpowie.

— Proszę pana, ja nie mam już nic więcej do powiedzenia —

oświadczył z naciskiem, ani jeden mięsień nie drgnął w jego twarzy.

Z ulgą opuściłem hodowcę nerek; prawdę mówiąc działał mi na nerwy. Zupełnie nie mogłem uwierzyć, że ów list skierowany do prokuratury był wynikiem jego społecznej postawy. Stanowczo ten lojalny obywatel nie sprawiał wrażenia człowieka troszczącego się o państwowe mienie.

— On się czegoś boi... zemsty? Ale przecież nikt poza prokuraturą i milicją nie wie o jego liście, co ty na to, Bar

- tek?

— Sprawa jest zapewne prosta — mruknął mój kolega. — Sądzę, że gość zemścił się w ten sposób na Lateckim... Może jakaś grubsza zaliczka za coś, czego nigdy mu tamten nie dostarczył?

Siatka, cement, rury wodociągowe, coś z tych rzeczy po bardzo przystępnej cenie. I Karolak nie ujrzał ani towaru, ani zaliczki, co w sumie wypadło nader drogo, a do tego zrobiono z niego dudka. Można się wkurzyć? Można! Więc zaraz, na gorąco, obywatelskie sumienie go ruszyło, że taka kanalia nie tylko jego, ale i Rzeczpospolitą skubie...

—A tyś mu o obywatelskiej postawie nawijał!

—Uśmieł się jak norka, nie? — Bartek, podobnie jak i ja, wierzył poprzednio w szlachetność pobudek tego faceta, a teraz mu także było głupio. — Pies go trącał! Co mnie obchodzą jego intencje, ważne, że informacja okazała się prawdziwa.

Znacznie później mieliśmy się przekonać, jak bardzo się teraz mydliliśmy.

Leszek upierał się przy twierdzeniu, że Antoniak maczała palce w tej budowlanej aferze.

—Gadanie! Ze swojej pensji pół miliona musiałyby składać przez lata świetlne!

— Może wygrała w totolotka?

—Nie śmieję się, Grzegorz, to trzeba sprawdzić! — spoważniał

Biernat.

Wreszcie otrzymaliśmy dossier szlamia- rzy. Leżała tego cała sterta, nawet nie przypuszczałem, że w Warszawie działa tak liczna kadra w tej dyscyplinie. Ryliśmy w tym z Biernatem przez kilka dni i wreszcie mogliśmy włączyć do akcji dzielnicowych; wiele zależało od ich inwencji i rozeznania wśród marginesu społecznego w rejonach, za które odpowiadali, bo mimo wyraźnych adresów w aktach, tylko nieliczni szlamiarze naprawdę mieszkali tam, gdzie się zameldowali. To była ruchliwa i płynna grupa ludzi, ze zrozumiałych przyczyn gardząca życiem osiadłym.

— Kapitanie, do tej akcji powinniśmy ruszyć wszyscy jednego dnia i o jednej godzinie — radził stary dzielnicowy z Pel-cowizny. — Inaczej uderzą w tam-tamy i pochowają się nawet ci, którzy przestali już kraść, a facetów bez alibi na tamten dzień trudno będzie potem wydłubać!

Posłuchałem go. Dzielnicowi ruszyli w teren o szóstej rano, a już o ósmej miałem kilku klientów, którzy nie umieli podać swego alibi na noc z dwudziestego czwartego na dwudziesty piąty czerwca. I jakby się, dranie, zmówili, bo niemal każdy z nich — chociaż trzymałem ich oddzielnie — twierdził, że owej nocy był na Wiankach nad Wisłą. Pewno byli gdzieś na robocie, a ponieważ dwudziesty czwar

ty automatycznie kojarzy się z imieniami Jana i Wiankami, więc najłatwiej wpaść na takie właśnie tłumaczenie. Rzecz nie do sprawdzenia. Może jednak w jakiś sposób zadziałał złodziejski telegraf?

Przyprowadzeni do komendy świetnie wiedzieli, że pracujemy w ciemno; nie nakryto ich na gorącym uczynku ani z łupem, więc wykpią się z impasu bez wielkiego wysiłku. Bo co mogłem zrobić? Rewizje w domach? Przetrzywać czterdzieści osiem godzin w areszcie? Nie było podstaw. Wianki...

— Posiedzisz za Wianki — odgrażał się Leszek i tak to szło jak litania.

A jednak akcja dała wynik; zadzwonił dzielnicowy z Utraty.

— Kapitanie, mam tu takiego gałgana z nogą w gipsie, który powiada, że jest ogólnie chory... Taszczyć go?

Tknęło mnie coś; przecież człowiek, pod którym niespodziewanie zarwała się balustrada, mógł odnieść jakąś poważną kontuzję. Należało to od razu uwzględnić w dyrektywach dla dzielnicowych.

— ...więc co mam robić? — niecierpliwił się sierżant.

— Zaczekajcie u niego, ja zaraz tam przyjadę.

—Grzegorz, weźmy ze sobą psa, co to szkodzi, a nuż Homo go rozpozna? — doradzał Biernat.

Połączyłem się z dzielnicą na Mokotowie i poprosiłem o słynnego tropiciela. Umówiłem się z jego przewodnikiem na rogu Zabranieckiej i Księżnej Anny; wybraliśmy najkrótszą drogę przez miasto,

aby nie narażać psa na wdychanie spalin, co psuje węch.

Było to dalekie przedmieście, a właściwie prawie wieś. Homo z przewodnikiem czekali już na nas na łączce. Swiergoliły jakieś ptaszki — sielsko. Gdzieś po drugiej stronie łączki stał dom, w którym mieszkał człowiek z nogą w gipsie.

Wilczur znowu otrzymał do obwąchania ów zniszczony pasek od zegarka. Z początku zachowywał się dziwnie, wyglądało na to, że w ogóle nie reaguje na woń. Kluczył, zatrzymywał się, przysiadł, spoglądał na przewodnika, jak gdyby nie rozumiał, czego od niego chce.

— Homo, to nie majówka — dogadywał Leszek; pies znowu przysiadł, zadarł czarny jak z aksamitu nos, węszył wiatr, a potem poderwał się nagle jak szalony i parł naprzód, wydając dziwny niekiedy skowyt, coś w rodzaju śpiewu.

Zatrzymał się dopiero przed niedużym domkiem; kremowy tynk, czerwona dachówka i wokół róże. Wszędzie róże, na grządkach i pod oknami, oplatały sztachety ogrodzenia, pięły się po drewnianych kratkach. Nie, ten dom absolutnie nie przypominał

złodziejskiej meliny. Jednak to było właśnie tu, ten adres podał mi dzielnicowy.

Homo przysiadł i obwieścił swe przyby- bycie przeciągłym, śpiewnie łkającym głosem. Przewodnik przyglądał mu się z wy-rażnym niesmakiem. Zrazu nie rozumiałem, o co ma pretensję do psa, kiedy ten ruszył gwałtownie ścieżką prowadzącą koło domu, a potem stanął jak wryty, wydając wspaniały, nabrzmiały tęsknotą zew...

Naprzeciwko, kilka metrów przed nim, przysiadł duży, płowy pies, mocno skun- dlony collie w szerokiej, nabijanej złotymi ćwiekami obroży z czerwonej skóry i ze ślepiami jak opale; wpatrywał się ten kundel w naszego arystokratę z niemal ludzkim wyrazem, leciutko wachlował ogonem i bezgłośnie szczyrzył kły. Mieszanina przyjaźni i nieufności A Homo śpiewał!

Raptem nasz wspaniały czworonożny wywiadowca, niepomny swoich obowiązków, podbiegł do kundla i zupełnie oszalał.

— Cholera, to suka! — jęknął przewodnik, patrząc, co wyprawia jego nadzwyczajny, najlepszy warszawski tropiciel; biedny chłopak tak się tym przejął, że zapomniał nawet ściągnąć linkę, na końcu której bezwstydnie rozrabiał, zakochany od pierwszego wejrzenia, Homo.

—Zabierzcie tego kundla! — wrzasnął wreszcie w kierunku domu, bo Leszek rechotał, jakby rzeczywiście było z czego, a ja?

Urzekły mnie te płasy i szaleństwa, jakie popełniał dla partnerki mądry, wykształcony samiec imieniem Homo.

— Aza! — zawołał starczy głos gdzieś z ogrodu, ale suka nie zwróciła najmniejszej uwagi na to wołanie. W lansadach przypadała do ziemi, na mgnienie układała łeb na łapach, wciąż odsadzoną o pół susa od wilczura, jak baletnica płasała mu przed nosem, wpatrzona w niego inteli-gentnymi ślepiami, prezentując niesłychany wdzięk, lekkość, gibkość, no i refleks, bo ani na milimetr nie zmniejszała się odległość między nią a naszym psem. Wciąż cofała się w tym tańcu, krok po kroku, zwabiając ogłupiałego pragnieniem Homo w głąb ogrodu. A on szedł za nią jak w hipnozie, ani dbając o swoją wielką sławę. Czy można coś więcej uczynić dla kobiety?

Rozumiałem Homo; to była wielka zalotnica i wielka spryciara ta Aza złodziejka Zenona Osiornego.

Wreszcie plutonowy ściągnął naszego psa i czerwony z irytacji skierował go w stronę oszklonej werandy.

Ale Aza, szybka jak błyskawica, skoczyła przed nim i rozparła się pod drzwiami. Teraz to była rozwścieczona megiera, gotowa rzucić się do gardła każdemu; ziała chrapliwie, odsłaniając zęby w groźnym uśmiechu. Homo przysiadł, ziewnął i spojrział bezradnie na przewodnika; pozostał

dżentelmenem. Mimo całej hańby, jaką na niego ściągnęła, wyraźnie było widać, że nie tknie przewrotnej samicy. Zdegustowany, odwrócił wreszcie łeb i udawał, że nie widzi pieniającej się jędzy.

Przydreptał mały, suchy staruszek i chwycił sukę za obrożę.

Szarpała się i dławiała wściekłością, gdy ciągnął ją w głąb ogrodu. Dopiero teraz z werandy wychynął dzielnicowy.

— Cholera! — wydarł się na niego przewodnik, rad, że ma na kim wyładować złość. — Nie mogłeś uprzedzić, że mają tu usposobioną sukę?

— Mam może jeszcze rejestrować wszystkie suki w rejonie! — obruszył się sierżant.

— Idź do diabła! — przewodnik ostentacyjnie odwrócił się do niego plecami i znów dał psu do powąchania pasek od zegarka.

Homo jednak nie ruszył się z miejsca. Kręcił się podenerwowany, wydając krótkie, urywane szczeknięcia. Nie zareago

wał także na widok młodego mężczyzny, gdy znaleźliśmy się na oszklonej werandzie. Potraktował go z doskonałą obojętnością, wsłuchując się tylko w stłumiony szczek Azy dobiegający z ogrodu. Wówczas wszyscy byliśmy pewni, że zbłądził się do szczętu nasz znakomity pies... Czas miał pokazać, jak byliśmy w stosunku do Homo niesprawiedliwi...

— Opowiedzcie, co robiliście w nocy z dwudziestego czwartego na dwudziesty piąty? — Zenon Osiorny, z nogą spowitą gipsem od palców aż po kolano, siedział

fotelu na biegunach. Trzcinowe meble, stojak z gazetami, róże zaglądające przez przeszkłone ściany — luksus!

— Byłem w domu, panie kapitanie.

— Kto to może poświadczyć?

— Dziaduś i Ewka... moja siostra.

Zenon Osiorny był trzecim w pokoleniu złodziejem. Wiedziałem to z dossier; talent do fachu dziedziczył po dziadku i ojcu. Ojciec umarł już dawno, więc wychowywał go i szkolił dziadek, Michał Osiorny, sławny kiedyś w Warszawie szlamiarz, bo zanim wiek go zmógł, przez trzydzieści lat na szlam chodził i tylko dwa wyroki przez ten szmat czasu załapał. Teraz stary kwiatki z nudów sadził i tak się w tym rozkochał, że -na całej Utracie nie było wokół domu piękniejszego ogródka. Podobno w tym rosarium dziadek Osiorny sto dziesięć odmian róż hodował.

— Dziaduś i siostra, powiadacie? Krótko mówiąc — nikt.

— Jeśli dla kapitana dwoje ludzi to nikt... A gdzie niby miałem być ze złamanym kulasem?

— Gdzie wam zakładano gips?

— Na pogotowiu... — wymienił adres i jakby idąc za moją myślą, dodał: — Może pan kapitan nie sprawdzać. U łapiduchów byłem dopiero dwudziestego piątego rano.

— Co robiliście w nocy?

— Wiłem się na łożu boleści, jak się to mówi... Kulas se przetrąciłem z wieczora, kraty do róż na południowej stronie dachu dziadusiowi montowałem i spadłem... Z początku myślałem, że nic poważnego, dopiero później, na drugi dzień do pogotowia pojechałem.

Na każde pytanie miał gotową odpowiedź, a więc wziął pod uwagę ewentualność, że trafimy na jego ślad. To znaczy, że rewizja nie ujawni niczego. Jeśli nawet zgarnął na Kryształowej jakiś łup, zdążył już się go pozbyć. Należało jednak mieszkanie przeszukać. A ogród?

Nakazu rewizji nie miałem, wysłałem więc Biernata, aby uzyskał go od prokuratora — chodziło przecież o recydywistę, uwikłanego w sprawę o zabójstwo — a sam poszedłem do ogródka, z

którego dziadek Osiorny przezornie nawet nie wyjrzał; siedział w altance, ćmił wielką fajkę. Uwiązana opodal Aza poderwała się natychmiast, charcząc wściekle, ale stary jednym słowem nakazał jej spokój. Odpowiedział na moje pozdrowienie i gestem zaprosił na ławeczkę.

— Dużo pan ma tych krzewów? — zagadnąłem.

— A ze dwieście.

— Szkoda, że przyjdzie je wszystkie wykopać — byłem okrutny.

— Inaczej nie można? — w starych oczach, wpatrzonych teraz we mnie, ujrzałem cierpienie.

— Można... Łup z Kryształowej na rączkę i nie tknę kwiatków.

— Nie wiem, o jakim facjandzie pan mówi, kapitanie! Ale...

słowo starego Osiornego: pod kwiatkami łupu pan nie znajdzie!

— Przykro mi, ale nie wierzę w pańskie słowo.

Spojrzał na mnie tym zbolałym wzrokiem, pokiwał głową.

— Młody pan, kapitanie, to dlatego... Na Utracie żyje mój bywszy dzielnicowy, na rencie już, też róże hoduje, teraz dobrzy sąsiezi jesteśmy... starość równa ludzi, a i sprzeczności między nami nie ma. Prawie pięćdziesiąt lat znajomości, panie kapitanie, raz do mamra mnie wpasował, ale moje słowo szanował, a pan cóż? Młodziak, bez obrazy, a mnie siedemdziesiątka na karku, to cóż pan może wiedzieć o życiu, jak teraz nie ma już ani porządnych złodziei, ani... — zżuł

nie dopowiedziane słowo i wypuścił kłęb dymu.

— Ani porządnych milicjantów — uzupełniłem cierpko.

— Kapitanie, tutejsza MO jest na Zenka cięta, ktoś im statystykę paskudzi, a oni ciągle mojego wnuka posądzają, bo niby skąd ja ciężką forszę na te róże biorę. Ludzie! To nie pieniądze, tylko staranie. Ja z tych kwiatów pieniędzy mam, one na nas wszystkich zarobią... Ale podejrzewać

— jeszcze nie wszystko, trzeba gościa z dowodem złapać, inaczej ani dudu!... Napuścili pana kapitana, bo innych łachmytów to szukaj wiatru w polu, a Osiorni, wiadomo, dom jak u ludzi, nie alkoholiki i nie męty żadne, jeszcze śmia upodobania mieć, róże hodować!

— Panie Osiorny, pan wie, że nie o róże chodzi! Na Mokotowie zabito kobietę, to wygląda na chińską narkozę!

— W imię Ojca i Syna! Kapitanie! I taką sprawę chce pan wnukowi przypasować? — oburzył się stary. — Zenka przez piętnaście lat fachu uczyłem, słyszy pan? Przez piętnaście lat! Przez tyle lat lekko dwa uniwersytety można skończyć, wszak nie?

— A cóż to ma do rzeczy?

— Dobry złodziej nie jest mordercą, a Zenek fachowiec klasa! Tylko niedouczkom, co parami chodzą — jeden garnie, a drugi z tłuczkiem w pogotowiu stoi — tym się zdarza, że obudzonego domownika znowu chcą uspić... Kiedyś taki jeden papracz zestrachał się i facetowi, co za potrzebą w nocy z łóżka wstał, za mocno przyłożył. No i morderstwo! I co z tego, że krzywdy mu zrobić nie zamierzał, skoro człowiek do świętego Piotra się przejechał? A sąd strachajle dwadzieścia pięć lat wlepił i po karierze!

— Właśnie coś takiego stało się na Mokotowie.

— To nie mój wnuk!... — Stary potwierdził alibi Zenka i nie rozminął się z jego wersją ani w jednym zdaniu; oczywiście łgał jak z nut.

Wrócił Leszek z nakazem; przeszukanie, jak przewidywałem, nie dało żadnych rezultatów, nie natrafiliśmy na nic podejrzanego, a mimo wszystko — Leszek patrzył na mnie jak na wariata

— nie tknąłem kwiatów starego; miałem wewnętrzne przekonanie, że wśród róż naprawdę niczego nie ukrył.

— Bóg pana nagrodi i trafi pan tego prawdziwego drania —

wzruszył się na odchodnym stary. — A ja nie skłamałem..

— Oby ci błogosławieństwo tego starego urki bokiem nie wyszło, amen! — westchnął Leszek.

Zenka zabrałem do komendy i dołączyłem do pozostałych szlamiarzy. Ustawiłem ich wszystkich rzędem i Homo jeszcze raz otrzymał do powąchania pasek od zegarka, jednak bez żadnego rezultatu; pies był podenerwowany, jakiś nieswój. Czyżby jeszcze cierpiał przez tę przewrotną błaźnicę, Azę?

Zenon Osiorny nie przyznał się, że krytycznej nocy był na Kryształowej. Dowodów na to nie mieliśmy, w ciągu czterdziestu ośmiu godzin musiałem sprawę wyjaśnić, bo jeśli mi się nie uda znaleźć nic nowego, trzeba go zwolnić. O tym Osiorny doskonale wiedział i to utrudniało moją sytuację.

— Poznajecie? — położyłem przed nim plik naciętych gazet, chociaż oczywiście zdawałem sobie sprawę, że błędzę po omacku.

— Nie śmiem przeczytać panu kapitanowi.

— Są tu charakterystyczne ślady... — brnąłem dalej.

— Nie moje... Panie kapitanie, za przeproszeniem, przecież pan na mnie nic nie ma, jakby pan coś miał, to inaczej by pan ze mną rozmawiał. Więc po co się czarować? — Mimo dwudziestu sześciu lat i tylko jednego wyroku to był stary, wycw- niony urka; dobra szkoła dziadusia.

— Mam — nie dawałem za wygraną. — Ot, co znalazłem na klombie pod tarasem — pokazałem mu nasz koronny dowód, złotą doxę z rozerwanym paskiej. Może straci tupet, kiedy pozna swój zegarek?

— Nie mój sikor, kapitanie — drań ani drgnął. — Osobiście nie miałem nigdy złotego chronometra, to dobre dla lalusia, nie dla mężczyzny. Ja od piętnastu lat mam atlantic, wodoszczelny.

Dziaduś mi go kupił, uważa pan? Kupił! Na gwiazdkę ...A na robotę nigdy się w zegarek nie stroję, właśnie dlatego, panie kapitanie, żeby nie zgubić.

Jeśli on ten kulas przetrącił sobie, lądując z tamtego tarasu — kombinowałem — to przecież nie dokuśtykał z Mokotowa na Utratę piechotą. Musiał czymś jechać. Czym się jeździ nocą, głęboką nocą, jeśli się jest w takiej sytuacji? Oczywiście taksówką! Autobus raczej wątpliwy; pomijając inne względy, jest kilka przesiadek na tej trasie.

— Leszek, trzeba zapytać taksówkarzy!

— O kulawego faceta, który wsiadł w okolicach Belwederskiej

— przypomniał Leszek. — Tak radzi Homo. Rzec do załatwienia, tylko czy w tak krótkim czasie?

A jednak było to możliwe; w bazie Miejskiego Przedsiębiorstwa Taksówkowe- go ogłosiłem apel o godzinie drugiej po południu, gdy następna zmiana ruszała na miasto.

— Przyjąłem! Do rana będzie pan miał tego szofera, nieważne uspołeczniony czy prywatny... — powiedział dyspozytor.

Zmobilizował kierowców, sztafeta poszła na miasto: kto brał

kulejącego faceta w nocy z dwudziestego czwartego na dwudziesty piąty, w okolicach Kryształowej, Grottgera, Belwederskiej?! Mogłem być prawie pewny, że jeśli Osiorny jechał wówczas taksówką, kierowca się zgłosi.

— Złapię jakąś taryfę i przyjrzę się, jak działa ta organizacja — powiedział Biernat.

— Jedź — zgodziłem się i tak na razie nic lepszego nie miałem dla niego do roboty. — A przy okazji rozejrzyj się, co to za człowiek ten Jerzy Władeczek — przypomniałem mu nazwisko ze zmiętego rachunku elektrowni.

Wróciłem do komendy — zatrzymani akurat jedli obiad, więc i ja poszedłem coś zjeść.

— Szukam cię od rana! — w stołówce dopadł mnie Bartek.

Inspektorzy NIK-u wciąż jeszcze tkwili w firmie „Tempo“, zaś Bartek całe dni spędzał na

rozmowach z Lateckim i resztą podejrzanych; „dopinał“ tę swoją aferę i nie dopuszczał mnie do zaopatrzeniowca. Bał się, że przestraszę Lateckiego sprawą morderstwa na Kryształowej, a wtedy przestanie w ogóle mówić.

Zgodził się osta

tecznie przesłuchać go osobiście według opracowanego przeze mnie scenariusza, ale w dalszym ciągu utrzymywał przed nim w tajemnicy śmierć Czesławy Antoniak.

W zamian za ustępstwa w sprawie Lateckiego bezczelnie zażądałem od Bartka, aby wypożyczył mi jednego ze swych wywiadowców. Zgodził się, choć przeżył to boleśnie i wypominał mi potem przy każdej okazji.

— Mój najlepszy wywiadowca! — wzdychał.

Bartek miał niesłuchanie rozwinięte poczucie własności. Mój wywiadowca, moje śledztwo, mój podejrzany — ale może dlatego tak mu wychodziła robota? Czasami bywał jednak nieznośny.

— Słuchaj — zaczął mnie teraz — podobno mojego najlepszego wywiadowcę posłałeś za jakimś dyrektorem od garma-żu. Nie dość, że zabrałeś mi człowieka, to jeszcze wkraczasz na teren mojego obiektu bez porozumienia.

— Masz coś na dyrektora Nowaka? — zdziwiłem się.

— No nie, ale przyznasz, że zakłady produkcyjne to branża służby gospodarczej... Jeśli nie masz porządnej roboty dla mojego wywiadowcy, nie marnuj mi chłopaka, tylko oddaj... —

Widocznie jego wspomniały as narzekał, że nudno.

— I dlatego szukałeś mnie od rana, żeby mi o tym powiedzieć?

— Nie! — Mimo swych zabawnych przywar Bartek był solidnym facetem i dobrym kolegą. — Słuchaj, stary, ten mój Latecki miał kiedyś złotą doxę — to pytanie podałem Bartkowi w scenariuszu przesłuchania — i ten łobuz coś kręci... Jeśli chcesz, sam z nim teraz pogadaj — zezwolił wreszcie wielkodusznie — ale o ile to nie będzie konieczne, nie puszczaj farby o Antoniak.

Latecki spłoszył się, gdy wprowadzono go do mnie; widać przywiązał się do Bartka, a w ogóle każda zmiana prowadzącego śledztwo oficera z reguły przyprawia podejrzanego o niepokój.

— Gdzie pan przebywał w nocy z dwudziestego czwartego na dwudziesty piąty?

— O to już mnie pytał kapitan Bartek.

—

A teraz pyta kapitan Czarnota, słucham!

—

Grałem w... pokera, towarzysko oczywiście, u przyjaciół.

Wiedziałem to od Bartka, Latecki był nieprzytomnym hazardzistą, przegrywał niemal wszystko, co zdołał ukraść, a owi „przyjaciele“ to kasyno gry w Starej Miłosnej.

—

...rozeszliśmy się około trzeciej, może trochę później.

Jego trzech partnerzy, którzy zresztą potwierdzili tego pokera, stanowili główną sitwę od kantów, obecnie także Bartkowa klientela.

—

Nadal pan podtrzymuje, że Antoniak pana szantażowała?

—

Nadal... I gdybym nie zlekceważył zdziwy, nie siedziałbym teraz tutaj — skruchy to ten baranek jeszcze w sobie nie wzbudził.

—

Siedziałby pan, tylko trochę później... Większe kanty, wyższy wyrok.

—
Czyli powinienem się raczej cieszyć, że mnie zakapowała!

—
Nie musi pan... Nic innego nie było przedmiotem szantażu?

—
Jak pan widzi, wystarczyło, ale co niby miało być jeszcze?

Wyraźnie się dziwił. Albo rzeczywiście nic nie wiedział o wypadku na Kryształowej, albo taki z niego artysta.

— Miał pan złotą doxę.

— Ale już nie mam.

— Co pan z nią zrobił?

Patrzył na mnie, wzdychał, kręcił się, znów spoglądał, wreszcie zrezygnowany machnął ręką.

—
Poker, moja miłość!... Spłukałem się, wrzuciłem do banku i

— poszło!

— To ci kumple tak pana obrali?

— Nieee... — ociągał się.

—
Radzę, niech pan sobie dobrze przypomni, zegarek może być dowodem w bardzo paskudnej sprawie.

—
Oj, wielkie mecyje... u znajomych w Starej Miłosnej... Nie znam faceta, bo to znajomy znajomych, podobno jakiś dyrektor...

Na dźwięk tego słowa byłem ostatnio bardzo wyczulony.

— Poznałby go pan?

— No chyba, przecież całą noc mieszaliśmy karty. Gość miał nieprawdopodobne szczęście.

— Kiedy był ten poker?

Oświadczył, że pod koniec kwietnia. Nie wspominając o śmierci Czesławy Antoniak, zwróciłem Bartkowi jego klienta; chciałem wiedzieć, jak stoją sprawy kasyna w Miłosnej. Bartek uspokoił mnie, że jego wywiadowcy właśnie chodzą koło tego. Znowu kazałem przyprowadzić Zenona Osiornego; poczęstowałem go papierosem, a sam udawałem, że czytam jego dossier.

— Kapitanie, ja nie stosuję chińskiej narkozy... — zagaił niepewnie, wyraźnie ciążyło mu moje milczenie.

— A eo robisz, jak delikwent się budzi?

— Jeszcze mi się nic takiego nie zdarzyło... Niech pan się nie śmieje, nie na darmo nazywają mnie Artycha. Jeśli sobie coś upatrzyłem, to już na całym blicie i na całym hajcu, nieważne, które piętro, krzyżyk można stawiać.

— Aleś szczerzy, nie do wiary!

— Szczerzość nie dowód — błysnął białymi zębami; miał rację. —

Ja tylko pragnę rozjaśnić problem, kapitanie, i bardzo przepraszam za śmiałość. Ma pan do czynienia z fachowcem, można powiedzieć, wąskim specjalistą! Ja nigdy nie noszę żadnej łamigłówek, nic! Ja mam talent! Bez przechwałek, panie kapitanie, każdy urka panu powie, kto jest najlepszym szla-miarzem w tym mieście.

— A jednak zarobiłeś rok i osiem miesięcy.

—Zgubiła mnie zazdrość mężczyzny, żadna fuszerka... To było ósme piętro, trafiłem po balkonie jak po promenadzie, a tam kobita młoda i śliczności kima sobie w koronkowej pościeli.

Pierścionek z rączki jej obrałem, a ona ani drgnęła. No i jeszcze w schowku twarde trafiłem... Już po angielsku znikam tą samą drogą, a tu wali się facet jak byk, tylko zdążyłem do-wód rzeczowy w skrzynkę od kwiatów na balkonie wetknąć...

Czekam, palec na usta przykładam, znaki mu daję... Akurat, myślę, musiał teraz do domu przysnurować, żeby chociaż minutę później...

—Pech!

— To jeszcze nie był pech. Z reflekssem gaję: „Ratuj pan człowieka! Z góry musiałem się przez balkon zmywać od babki, bo jej mąż niespodzianie wrócił...!“ Ucieszył się, jakby mu ktoś w portfel obrazek z kanonikiem wsunął, aż go dusi ze śmiechu, i powiada: „Hi, hi! To Wiśniewskiemu pan rogi przyprawił?“ Ja na to: „Gentel- man jestem, nazwisk nie będę wymieniał“. Tak zagadałem, że drzwiami mnie jak kumpla wypuścił. Miesiąc odczekałem, niech przyschnie — myślę. Przez miesiąc to i MO się zniechęci, jeśli tamci, ma się rozumieć, o kradzieży dolców zameldowali...

—Chciwość cię zgubiła...

Mówił prawdę, znałem to z jego akt. Po miesiącu Zenek tą samą drogą przez balkon wrócił, bo szkoda mu było tyle dobra na zmarnowanie w ziemi zostawić. W skrzynce wszystko, co schował, jak w sejfie na niego czekało. I tu był koniec Zenkowego szczęścia. W tym samym momencie właśnie dopadł go mąż. Chłop — atleta, a chociaż Zenek sprężyna i pistolet, żadnych szans już nie miał.

— Uważasz pan, kapitanie? Ten buldog od miesiąca co noc czatował; kiedy on spał, pojęcia nie mam! I myślisz pan, o ironio losu, że on na złodzieja się zasadzał? Gdzie tam... Jak mnie wtedy puścił, to dopiero mu przyszło do głowy — ciężki pomyślunek, nie? — dopiero mu wtedy zaświtało, że gach, czyli niby ja, nie od żadnej Wiśniewskiej, tylko od jego żony się zmywał! I gdyby tych cholernych dolców w moich rękach nie zobaczył, to nawet by mnie do MO nie taszczył, tylko mordę skuł i kropka. Przez zazdrość buldoga w wasze kartoteki trafiłem, bo on,

Jrajer, myślał, że twarde spokojnie w schowku leżą. Uroda mi zaszkodziła... — zakończył skromnie; istotnie Zenek był

przystojny i gdy chciał, umiał się znaleźć.

Tymczasem Leszek Biernat jeździł już od kilku godzin po mieście. Wciągnęła go „taksówkowa“ sztafeta, kierowcy zatrzy-mywali mijanych kolegów i przekazywali mój apel metodą „podaj dalej“. Ładnie to nawet szło. Mówił mi później, że już po dwóch godzinach jego taksówkę — a byli wówczas na Bielanach —

zatrzymał pry

watny kierowca i słowo w słowo przekazał wszystko, jak trzeba.

Byłem im wdzięczny, tym wszystkim kierykom, którzy nieraz w podobny sposób ostrzegali się wzajemnie przed różnymi akcjami służby drogowej.

O ósmej rano czekało na mnie w komendzie dwóch taksówkarzy.

Dlaczego dwóch? — pomyślałem zdziwiony.

— Nie brałem żadnego kulawego, ale tej nocy przywiozłem z

„Wodnika“ parę, wysiedli na Kryształowej... — powiedział mi pierwszy kierowca. — Nie, nie spojrzałem na numer domu i nie pamiętam, czy dziewczyna wymieniła w ogóle numer, chyba tylko nazwę ulicy.

— Jak wyglądała ta para? — zapytałem ot tak, raczej z szacunku dla dobrych chęci tego człowieka, który po ciężko przepracowanej nocy specjalnie przyszedł, aby mi pomóc.

— Cudzoziemiec i dziwka... Ale dziwka kategorii super, zresztą inne nie bywają w „Wodniku“...

Wie pan, nocą najlepsze kursy łapie się spod knajp... No to większość tych dziewczyn zna się z widzenia... Już kilka razy ją wozilem.

— I zawsze na Kryształową? — To zaczynało być interesujące;

„Wodnik“, szatniarka z tego lokalu, dziewczyna spod lekkiego znaku... Informacja szofera była cenna! Jeśli ją się pogłębi, związki łączące obie panie mogą okazać się ciekawe.

— Nie tylko... także do „Wodnika“, do „Europejskiego“,

„Bristolu“... Z facetem to ją pierwszy raz wiozłem.

— Rozpozna pan tę dziewczynę?

— Chyba tak...

Podziękowałem mu i zapisałem jego adres na wypadek, gdybym go potrzebował.

Drugi kierowca okazał się tym, który owej nocy nad ranem zabrał pasażera z bezwładną nogą.

— Kapitanie, ale wcale nie z Belwederskiej, jak było podane w apelu, tylko z Puławskiej!

— Z Puławskiej? — przez moment zwątpiłem w kwalifikacje naszego znakomitego psa; czyżby Homo się omylił? A może...

Przecież tropiciel wykonał to, co do niego należało, wskazał drogę, którą odszedł właściciel zgubionego zegarka! Jego woń zawiodła psa na Belwederską. Nie jest winą Homo, że ludzie tak łatwo ulegli sugestii i uparcie kojarzyli złotą doxę z osobą szlamiarza.

Oto i klasyczny błąd jednostronności w prowadzeniu śledztwa, tak klasyczny, że można go prezentować w milicyjnej szkole oficerskiej. I ocena moich zwierzchników: „Wystarczy mu podrzucić złoty zegarek!“ — bo rzeczywiście tak się zasugerowałem wersją złodzieja, że pominąłem inne. A przecież na Utracie Homo wykazał zupełną obojętność wobec Osiornego!

Reagował tylko na zapach Azy. Więc złodziej mówiłby prawdę? To nie jego zegarek? Zatem właściciel zegarka uciekał w stronę Belwederskiej. Czy uciekał?

Pokazałem kierowcy Osiornego, naturalnie z ukrycia, przez lustrzany ekran specjalnie do tego celu wmontowany w ścianę.

Nie chciałem sugerować świadka i dlatego ustawiłem Zenka wśród dziesięciu innych mężczyzn w zbliżonym wieku. Wszyscy widoczni tylko od pasa w górę; chodziło o to, aby nie zdradzać gipsowego opatrunku na nodze złodzieja.

Taksówkarz bez wahania wskazał Osiornego.

— To był kurs gigant, z Mokotowa na Utratę — dodał. —

Błędym świtem dobiłem do miejsca i zapamiętałem pasażera.

Zenek orientował się, w jakim celu ustawiłem go w szeregu wśród innych facetów i dlatego kazałem rozpiąć płótno zasłaniające nogi. Kiedy znów zaprosiłem go do siebie, był niespokojny.

— Znalazł się szofer, który cię zabrał z Puławskiej. — Nic nie odpowiedział. — Teraz tylko pobierzemy ci krew i twoje gadanie mi niepotrzebne... — zablefowa-
łem.

— Po co... dlaczego krew? — To go wręcz przestraszyło.

— Na miejscu zbrodni są ślady krwi.

— Niemożliwe!

—Możliwe. Podrapałeś się o krzewy na klombie i... mam jeszcze dwóch świadków na tamtą noc. Cudzoziemiec i dziewczyna, starczy?

Zbladł, jakby uszło z niego życie. Strze lając w ciemno informacją pierwszego taksówkarza, nie spodziewałem się takiego efektu! A więc on ich widział! Musiał

widzieć, inaczej nie siedziałby teraz jak porażony. Czy tamci go także widzieli? Leszek musi odszukać dziewczynę. A teraz ostrożnie, już nic więcej na ten temat; Osiorny nie może się

zorientować, co o nim wiem. Wetknąłem nos w akta — zaległo ciężkie milczenie.

— Ja jej nie' stuknąłem — wykrztusił.

— Ja ci nie zarzucam, że ją stuknąłeś, o takich rzeczach rozstrzyga sąd! Twierdzę tylko, że tam byłeś!

— Byłem. — Wreszcie się odkorkował!

— Dlaczego nie powiedziałeś od razu, przecież tylko pogorszyłeś sobie sprawę.

— Właśnie dlatego... Bałem się, że mnie pan kapitan wrobi w to zabójstwo.

— Głupiś, sam się wrabiasz i jeśli rzeczywiście tego nie zrobiłeś, to ja cię będę musiał z impasu wydlubać. Dobrze ci radzę, nie kręć dłużej, pomożesz nie tylko mnie, ale przede wszystkim sobie! Mów, jak było, od początku!

— Pan mi nie uwierzy.

— Przestań się zgrywać, jakie masz wyjście, znasz lepsze? —

Spoglądał na mnie z rozterką. — Jak się namyślisz, zawiadom profosa... — powiedziałem obojętnie i sięgnąłem do dzwonka.

— To ona wkitrała mnie w tę robotę, niech ją grom spali... —

Ona to była zamordowana, Czesława Antoniak; rzeczywiście niełatwo by przyszło w to uwierzyć. Skąd mogłem przypuszczać, że cokolwiek łączy złodzieja z Utraty i urzędniczkę pracującą i mieszkającą w innej części miasta. — ...bo ona pochodziła z Utraty, kilka lat mieszkała z nami po sąsiedzku i stamtąd w zawodzie wystartowała.

— Masz dwadzieścia sześć lat, a tamta po czterdzieście, skąd ta komitywa?

— Czy ja powiedziałem, że komitywa? Ona nas znała, niech pan dziadusia zapyta, to panu powie... Kto Ceśki na Utracie nie znał, a i ona też wszystkich doskonale znała.

— W jakim zawodzie, powiadasz, wystartowała?

— Pyta pan, jakby pan nie rozumiał...

Dziwka! Nie wierzy pan, to niech pan w swoich spisach poszuka, przecież wy je rejestrujecie.

— Nie prowadzimy rejestracji — odruchowo skorygowałem go, tak jak zwykle korygowały nas koleżanki ze służby obyczajowej.

Czasami na przekór używaliśmy niewłaściwego terminu i wtedy one cierpliwie, po raz nie wiadomo który, wykladały nam różnicę między rejestracją a wewnętrzną ewidencją, prowadzoną dla celów walki z przestępczością.

— Jak zwał, tak zwał — Zenek nie rozumiał tych subtelności, ale wiedział, że o prostytutkach, podobnie jak i o złodziejach, MO wie dużo. —

Kiedy się z niej zrobiła stara ryfa, rzuciła rzemiosło i wy-niosła się z naszej dzielnicy... Ale zjawiała się któregoś dnia i powiada: „Zenek, mam dla ciebie prima sort partaninę, ale dwadzieścia pięć procent z tego odpalisz...“ Osiorny zgodził się na tę robotę, bo wydawała mu się pieniądze i łatwa, bez specjalnego ryzyka, jako że Ceśka tam mieszkała; sama mu wszystko narysowała, nie tylko plan domu, ale nawet rozmieszczenie mebli na górze, bo parter był z operacji wyłączony. Łup znajdował się w pokoju Neli Oziemkowej. Ceśka zdradziła mu rozkład zajęć i obyczaje gospodyni. Przestrzegła nawet przed spróchniałą balustradą, a potem dała cynk, którego dnia i o jakiej porze ma przyjść.

— W jaki sposób dała ci znać?

— Dzwoniłem do niej do zajęcia.

— Na Kryształowej także jest telefon.

— Upatrzonego obiektu nie tyka się przed robotą, nawet telefonicznie.

Uradzili oboje, że Zenek wejdzie na górę według wszelkich prawideł swego rzemiosła. przez

pokój Ceški — aby było bez-pieczniej — ale włamanie miało być zrobione fachowo, bez żadnych ułatwień z jej strony; wszystkie okna i drzwi zamknięte. Zenek to rozumiał; zawiadomiona o kradzieży milicja niechybnie odkryłaby mistyfikację i podejrzenie padłoby na Ceškę.

—Miał być hajc bez poruty, a widzi pan, co wyszło? Złamany piszczel i kryminał, ale mnie urządziła ta... zgryzł przekleństwo.

Zenek był solistą, nie uznawał wspól ników. Ufał sprawności swego ciała, swoim wyostrzonym zmysłom i pewności rąk. Na taras wszedł po hakach odgromnika, wygniótł

szybę na lepek i przemknął przez pokój Ceški, ale jej tam nie było. Czy na pewno nie było? Z całą pewnością. W łazience szemrała woda, pamięta to, bo pomyślał wtedy: Kąpie się po ciemku? A przecież miała przynajmniej udawać, że śpi. I jeszcze pomyślał, że mogło zepsuć się światło. Zszedł na parter.

—Miałeś się nie interesować parterem.

—Wisieć za jedną nogę, a za dwie... Ceška też rentgena nie miała ani pewności, że tam nic się nie znajduje. Mam zasadę: jeśli już wejść, to rzetelnie popracuję...

No i wtedy właśnie zaczął się jego niefart; usłyszał

krzątanie w kuchni, pomyślał w pierwszej chwili, że to Ceška, nagle jednak rozległ się brzęk tłuczonego szkła i jakiś męski głos zaklął.

—Na pewno był to męski głos? — Zenek upierał się, że tak. —

Widziałeś faceta? — przyciskałem go.

—A niech mnie Pan Bóg broni...

Z miejsca coś go tknęło i stracił zaufanie do Ceški. Bo przecież nikogo, poza nią, miało w domu nie być. Prawda, mowa była o piętrze, ale przecież powinna uprzedzić, że parter nie będzie pusty. Wycofał się prędko na górę i zakradł do pokoju gospodyni. W nieoświetlonej łazience wciąż szumiała woda; denerwował go ten szmer i niepokoił. Pewnie ktoś zapomniał

zakręcić kran — woda przeleje się przez wannę i zaalarmuje tamtego w kuchni na dole. Śpieszył się, aby jak najszybciej opuścić ten dom.

— Co zabrałeś?

—Trochę hajcu w miękkich, ale ich nie mam... — Zenek wrócił

do pokoju Ceški, aby tą samą drogą wydostać się z willi, i gdy tylko uchylił drzwi, otrzymał cios w głowę...

—Ocknąłem się na klombie, z globusem jak sagan i przetrąconą giczą... Kapitanie, ja umiem skakać, spokojna czaszka, kulas miałbym cały, lecz dramat w tym, że ktoś mnie zamroczonego zepchnął jak wór z piaskiem... — Uważał, że złamana noga najlepiej świadczy o jego prawdowości. — I ktoś mi odebrał te dolce!

— spojrział na mnie szczerymi oczyma. — Rozumie pa» coś z tego, kapitanie? Bo ja ani w ząb... Od tego dnia wciąż kombinuję, do czego mnie użyto? Przecież gdyby chcieli oddać mnie do MO, mogli to łatwo zrobić, byłem bezradny jak ślepe szczenię!

Znaczy, że im nie zależało... Więc czego chcieli? Tfu! Ta kurwa, przepraszam za dwuznacznik, musiała mieć jakieś wredne wyliczenie, no nie? I jeszcze panu powiem, że u starej Oziemko-wej jedna szuflada w komodzie miała już wyłamany zamek, co mnie cholernie zbrzydziło, diabli wiedzą, eo tam przed moim wejściem zginęło, a wszystko pójdzie na mój rachunek — zamyślił się smętnie.

Próbowałem dojść, która część jego opowieści jest prawdziwa.

— Ceška to mnie chyba na świadka swej śmierci nie prosiła?

— Kobrę układasz?

— Sam bym nie uwierzył, jakby mi kto opowiadał. Dlatego się wilałem, jak mogłem, ale jak już mi pan zaczyna z dowodami morderstwo pasować, o, pardon!...

— Będę musiał to wszystko sprawdzić.

— Chce pan powiedzieć, że nogę będę w kiciu kurował? I po co to, przecież i tak się do żadnej roboty nie nadaję!

— No właśnie, nic nie stracisz.

— Aha!... Jeszcze mi się przypomniało, że w jednym oknie na parterze światło się paliło. Ci, co taryfą przyjechali, też powinni je widzieć.

— Kto to jest Jerzy Władeczek? — strzeliłem; Leszek już przekazał mi wywiad o nim. Opinię miał dobrą, gość stateczny, po pięćdziesiątce. Można byłoby przejść nad nim do porządku, ale... pracował jako portier w knajpie hotelu „Wodnik“.

Oczywiście zajęcie tak samo dobre, jak i inne, lecz w świetle ostatnio uzyskanych informacji jego osoba zastanawiała.

— Pierwszy raz słyszę o takim facecie! — Jeśli Osiorny nawet znał portiera, bardzo dobrze udawał zupełne zdziwienie.

Jedno w jego opowieści wydawało się pewne: znalazł u Neli Oziemkowej pewną sumę dolarów. To, że nie wie, ile tego było, i że mu je ktoś odebrał, nie jest już takie pewne.

A więc Nela Oziemkowa kłamała. Nie zameldowała o kradzieży!

Dlaczego? Niechęć do tłumaczenia się, skąd miała dolary?

Chciała ukryć, że w ogóle je miała? Tak! Przecież wielokrotnie, nawet nie pytana, podkreślała swoje skromne dochody. No, sprawdzimy wobec tego, jaka jest prawdą. Nie, na razie nie miałem ochoty na powtórny rozmowę z tą panią —

straciłem do niej zaufanie. Oczywiście nie podejrzewałem jej o zamordowanie swej jedynej lokatorki — miała murowane alibi —

ale chciałem wiedzieć, dlaczego tak bez szemrania poświęciła swoje oszczędności, bo przecież to mogła być znaczna suma. A do tego nocne odwiedziny lokalowej damy, zapewne nieobcej personelowi „Wodnika“...

Szatniarka z „Wodnika“, dziewczyna spod lekkiego znaku, zamordowana — była prostytutka, jej znajomy — złodziej i do tego portier, nocny portier z takiej knajpy jak „Wodnik“.

Przypadek czy dobrane grono?

Tak oto odkryłem źródło ubocznych, a wstydliwych dochodów madame Neli, skromnej szatniarki w hotelu kategorii spec.

Przedtem jeszcze sięgnąłem do hipoteki willi przy ulicy Kryształowej. Stwierdziłem z niejakim zdziwieniem i niesmakiem, że pani Nela łągała tyle bezczelnie, co i naiwnie, być może na skutek sytuacji przerastającej jej możliwości intelektualne, a być może dlatego, że improwizowała — to by ją nieco tłumaczyło.

Otóż dom na Kryształowej miał nie trzech, tylko dwóch współwłaścicieli i ten drugi nie bawił wcale za granicą, tylko przebywał w Warszawie; odziany w brązową liberię ze złotym szamerowaniem, otwierał drzwi w knajpie „Wodnik“ — czyli po prostu portier Jerzy Władeczek. Mały, gustowny zamieszkanie dla dewizowych gości! Dom na Kryształowej, nie „Wodnik“.

Co na to miejscowa milicja? Nic. Dotychczas nie otrzymali żadnych sygnałów.

Ale co miała z tym wspólnego prostytutka w stanie spoczynku, ustawiona na państwowej posiadzie ze skromną pensją. Kamuflaż?

Nie, to nie ma sensu. Przygarnęli ją z litości? Bzdura! W

takim byzniesie nie ma miejsca na uczucia, a już najmniej na filantropię. Ona im była potrzebna, to

nie ulegało wątpliwości, ale do czego?

A śliczne opowiadanie pani Neli o wybujałym temperamencie lokatorki? Jacyś mityczni kudłaci, których rzekomo wytrząsała niemal z każdego kąta? Zaraz, zaraz! A może Antoniak trzymano tam na zasadzie odgromnika? Kiedyś, dawno temu była taka instytucja w gazetach: „redaktor od kozy“; czy to nie coś w tym rodzaju? W razie jakichś podejrzeń lub ingerencji władz, całe odium spadłoby na Czesławę Antoniak, byłą prostytutkę, naturalnie za jej wiedzą i zgodą. Oto zakąła; sprowadza podejrzanych facetów do porządnego domu, gospodyni jest bezradna, nie wiedziała, że przyjechała do domu taką osobę.

Nieźle pomyślane.

Mój apel do taksówkarzy wciąż owocował; rozmnożyli się kulawi, chromi i w ogóle ludzie podejrzani, którzy tamtej nocy korzystali z taksówek na terenie Mokotowa.

Musiałem wysłuchać wszystkich z szacunku dla ich dobrej woli, a także dla samej zasady, bo już przez te sześć lat, które przepracowałem w służbie kryminalnej — chociaż ciągle mówiło się o mnie jeszcze: młody oficer — przekonałem się, że nigdy nie wiadomo, kiedy wśród zdawałoby się nieistotnych informacji trafi się na szczegół, który zadecyduje o powo-dzeniu dochodzenia. Z kilkunastu zgłoszeń o nocnych pasażerach jedno zwróciło moją uwagę, właśnie dlatego, że nie dotyczyło człowieka kulawego.

—Wziąłem gościa w wiankową noc, mogło być koło pierwszej, z Belwederskiej.

— Czekał pan na postoju?

— Tam nie ma postoju, z ulicy go poderwałem. Nie, kulawy to on nie był, tylko taki jakiś dziwny... Nie umiem powiedzieć, dlaczego, ale zwróciłem na niego uwagę... Z początku myślałem, że zdro wo podcięty, ale nie był pijany. A tak w ogóle to wyglądał mi na faceta na delegacji. Pomyślałem, niech wsiada, bo jeszcze mu się co przytrafi po nocy.

— Dlaczego przypominał faceta na delegacji?

— Miał ze sobą taki kufeczek i wciąż go pod pachą trzymał, nawet w samochodzie.

— Neseser?

— Nie neser, kufeczek... Czort wie co, wyglądało to jak mała kasetka, panie, w Warszawie nikt z czymś takim nie chodzi! Ale on nie był na delegacji, gadał tak jakoś z cudzoziemską, tak mu w gardle gruchało.

Z miejsca skojarzyło mi się z owym „gruchaniem“

„arystokratyczne“ er Kazimierza Karolaka, hodowcy nerek, które w jego wymowie brzmiało jak bezdźwięczne ł, a czasem jak h.

— W ogóle, panie kapitanie, to raczej była bełkotliwa wymowa, zresztą mało mówił. Kazał się zawieźć do „Europejskiego“.

Kierowca nie umiał opisać wyglądu pasażera, właściwie gdyby nie ten, jak go nazywał, kufeczek, nie zwróciłby na niego uwagi.

Oczywiście zainteresowało mnie miejsce, gdzie wsiadł

pasażer, tam właśnie zaprowadził nas Homo. Mógł to być wła-

ściciel złotej doxy. Teraz miałem już pewność, że nasz tropiciel się nie omylił. Od samego początku, zupełnie pod-

świadomie, nie opuszczała mnie uporczywa myśl, że zarówno losy Mariana Lateckiego z firmy „Tempo“, jak i Kazimierza Karolaka gdzieś w nie znanej mi przeszłości łączyły się z losem Czesławy Antoniak. W jaki sposób i dlaczego — na to nie potrafiłem sobie odpowiedzieć.

Wypożyczyłem z brygady obyczajowej album z fotografiami dziewczyn ujętych ich ewidencją i

zaprosiłem kierowcę, który pamiętnej nocy przywiózł na Kryształową dziewczynę z cudzoziemcem. Wprawdzie twierdził, że widział ją kilka razy, ale rozpoznanie jej wśród fotografii nie należało do rzeczy łatwych; zdjęcia były zwykłe, nie retuszowane, takie, jakie robi się do dokumentów i do akt śledczych.

Na podobnych fotografiach większość ludzi wygląda bezbarwnie.

—To cholernie rajeowna sztuka... — zwierzył mi się szofer, wertując album. — Buzia jak u aniołka, rzekłbyś pan — nie-winiątko.

Nieśpiesznie, z zainteresowaniem przekładał karty i jak mi się zdawało, robił to nie tylko ze zbożnego pragnienia, aby odszukać dla mnie cennego świadka.

—To ta!

Spojrzałem na fotografię i zrozumiałem, dlaczego tak bezbłędnie zapamiętał ową „rajcowną sztukę“. Podobnych twarzy się nie zapomina. Dziewczyna była nieprzeciętnie piękna.

Uderzało to nawet na tym bezpretensjonalnym zdjęciu, wykonanym przez naszego fotografa, a z pewnością nie miał on talentu Nasierowskiej. Czysty w rysunku, szlachetny owal twarzy, rzeźbione, delikatne rysy. Istna Primavera Boticellego. Byłem mimo woli poruszony, bo na ogół dziewczyny uprawiające proceder, który nie wiadomo dlaczego zwykło się określać jako lekki, nie wyglądały najlepiej; szczególnie te, które trafiały już do milicyjnej ewidencji.

—Madonna — orzekła Zuzanna, szefowa brygady obyczajowej, gdy pokazałem jej zdjęcie dziewczyny.

—Tak! Bardzo piękna — przyznałem skwapliwie.

— To jej przezwisko, chłopcze — powiedziała to: chłopcze, przeciągając sylaby, z ironiczną pobłażliwością. Zuzanna pracowała w służbie obyczajowej osiemnaście lat, była matką trojga dorosłych już dzieci. Dwoje starszych studiowało, najmłodsza w maju zdała maturę.

Madonna miała dziewiętnaście lat, średnie wykształcenie, biegle знаła angielski i nieco niemiecki. Najczęściej bywała w

„Wodniku“, ale widywano ją także w „Bristolu“, „Europejskim“,

„Metropolu“ i staromiejskim „Krokodylu“; dotychczas nie stwierdzono, aby miała jakieś związki z elementem przestępczym. Do naszej ewidencji trafiła w wyniku awantury urządzonej po pijanemu w restauracji. Mieszkała na Żoliborzu —

tyle służba obyczajowa.

—Nie próbowałaś jej pomóc, Zuzanno? — Byłem pod wrażeniem urody dziewczyny i chyba stąd te moje misjonarskie zapędy; nie, stanowczo mężczyźni nie powinni zajmować się tym problemem.

— Próbowałam, ale wiesz, ile ona zarabia?

— I co z tego? — zdenerwowałem się.

—I nic! Jesteś wstrząśnięty, ech, ty prostaczku boży —

westchnęła. — Co chcesz ode mnie jeszcze usłyszeć, że mi ich szkoda? Ale nie można zmienić człowieka, kiedy on sam tego nie chce, a większość tych dziewczyn nie chce! W jej wypadku jestem bezsilna, mimo że ma dopiero dziewiętnaście lat, rozumiesz? Bezsilna!

Po Madonnę wysłałem Leszka Biernata, na mnie czekał z kolejnym raportem wywiadowca.

Już po jego minie widziałem, że tym razem ma dla mnie coś ekstra; to był ów Bartkowy as, nudzący się przy moim garmazeryjnym dyrektorze. Rozumiałem go

— żał mu się było rozstać z kasynem gry, w którym Latecki rujnował przedsiębiorstwo „Tempo“.

— Nieciekawy obiekt — wykrzywił się z lekceważeniem, mówiąc o dyrektorze Nowaku, najlepszy wywiadowca kapitana Bartka.

„Obiekt“ oznaczał osobę zleconą do obserwacji. — Biuro — dom, dom — biuro, ja nawet bez

pułda mogą przewidzieć, co on robi w domu.

— No co?

— Kłóci się z żoną i gapi w telewizor.

— Dyrektorowa krótko go trzyma?

— Dyrektorowa wygryzła poprzednią sekretarkę.

— A to dlaczego?

— Dyrektorowa nie toleruje blisko męża kobiet poniżej pięćdziesiątki, chyba że są ułomne albo bardzo brzydkie.

— Podobno Nowak jest chory na serce, więc po pracy śpieszy odpocząć.

— A kto kapitanowi powiedział, że on choruje na serce?

— Hm... — zdałem sobie sprawę, że sam dyrektor; może to hipochondryk?

— Wczoraj w „Bristolu“ ssał jak gąbka... Jeszcze nie słyszałem o chorym na serce, który za jednym przysiadem bez karnie trąbi najpierw pół litra, potem jakieś koniaki...

Trzeba mieć serce jak dzwon, aby w taki morderczy upał, z takim zapasem w brzuszku wyjść jak po małym piwie. To biboszl!

—

Z kim on tam był? — domyślałem się, że to jest właśnie ta ekstra zdobycz wywiadowcy.

— Z norkarzem z Wawra.

— Z Karolakiem?!

—

Ano... Nie, żadnych specjalnych świństw. Karolak ma koncesję na skup odpadków w zakładzie garmazeryjnym.

— Więc dlaczego tam tak śmierdzi?

—

Kapitanie, on skupuje odpadki, a nie wywozi śmiecie.

— To taka wielka różnica?

—

Norka bydłatko delikatne, wybredne i mięsożerne. Jada wprawdzie i ochłapy, ale surowe i bez bukietu, natomiast nie tknie warzyw i innego paskudztwa, a już na pewno pasztetów i sałatek z majonezem.

—

Chcesz powiedzieć, że oni produkują same odpadki?

—

Ostatnio wysiadła chłodnia, tona wyrobów poszła w gnój.

— Ktoś się tym zainteresował?

—

Komisja ze Zjednoczenia. Zdaje się, że lipcowa premia przejdzie im koło nosa.

— Cierpią?

—

Najbardziej dyrekcja i nadzór techniczny. Szukają przyczyn obiektywnych, jednym słowem wyższej siły, bo u nich premia to kilkanaście tysięcy złotych na łebka, oczywiście im wyższy szczebel, tym większa.

Bartkowa opinia o tym chłopaku miała jednak swe uzasadnienie.

— Karolak bywa u dyrektora w zakładzie?

—

Jeszcze by nie... Jego niewolnicy ładują ochłapy na furgonetkę, a Karolak idzie na pogwarki do dyra.

— Zegarka nie wymacałeś?

—

Podobno miał, i to złoty, ale nosi zwyczajny, może mu szkoda chodzić w złocie? Bo tamten jakoby pamiątkowy, jakiś prezent jubileuszowy ze Zjednoczenia czy co.

—

Jubileuszowy? Jakież on mógł obchodzić jubileusz, ma ledwie pięćdziesiąt lat.

—No właśnie, okrągła rocznica! Teraz w modzie jubileusze.

Już dziesięć lat to jest coś. Dycha otwarcia, przecięcia, pod-

łożenia... świni! Nie zawsze to musi być złoty zegarek, ale okazja do pochłania, jak znalazł!

— Zjednoczenie...

— Kapitanie, wolałbym nie obnosić twarzy po Zjednoczeniu.

— Tak, to załatwi porucznik Biernat.

— To niech Leszek także się zorientuje, co z tym dyrektorskim sercem, bo ja bez EKG stawiam diagnozę, że facet zdrow jak byk!

Dotychczas nic nie wiedziałem o interesach i zażyłości hodowcy nerek z dyrektorem Nowakiem.

— Podpytać Karolaka? — głośno zastanawiałem się przy Leszku.

— Nie tykaj! — przestrzegają. — Po takim ostrzeżeniu wywiadowcy już niczego nie ustalają... Bartek zaraz by powiedział, że norki z Wawra żrą najlepsze mięso, kombinat zaś przetwarza na wyroby odpadki i stąd smród, zarówno dosłowny, jak i moralny. Wiadomo, skąd Karolak i dyro mają na wódkę i dziwki, pasuje?

— Stary, mordercy trzeba szukać także w zakładzie garmazeryjnym — wykluczyć tego nie mogliśmy; faktem było, że

„Życie Gospodarcze“ zostało pocięte gilotyną znajdującą się w powielarni tych zakładów. Tak stwierdzili biegli, protokół

ekspertyzy nie pozostawił co do tego najmniejszych wątpliwości.

— Dyrektor miał złoty zegarek... — od ręki przekazałem Leszkowi informację wywiadowcy. — Pójdiesz do tego Zjednoczenia i delikatnie rzecz zbadasz; tylko ostrożnie! Najlepiej wymyśl jakieś oszałamiające łgarstwo, taka aby dyrektora w to nie mieszać.

— Wy, Czarnota, nie uczcie ojca i tak dalej...

— Działać trzeba bezwstrząsowo, przecież na tego faceta poza mglistym podejrzeniem nie mamy nic, a to jednak dyrektor.

Jeśli się poczuje dotknięty, roze- drze się na całą Warszawę i zaraz się okaże, że młodzi oficerowie pochopnie i tak dalej...

— Czarnota, wasze asekuranctwo mnie brzydzi!

— To tylko sztuka życia.

— Słuchaj — spoważniał Leszek — nor- karz, powiadasz, jest zadomowiony w gar- mażu? To znaczy, że z łatwością może wziąć sobie stamtąd starą gazetę, chociażby do tych swoich ochłapów...

— I jeszcze mu podziękują.

— Więc i do gilotyny, na upartego, mógł się dobrać! Jeśli wspomnisz jeszcze jego gardłowe „er“ — to całość rzeczywiście daje do myślenia.

— I coś ty najlepszego zrobiła, ty głupia pulardo! — pinił

się Jerzy Władeczek, krępy, szpakowaty mężczyzna. — Wiesz, co z tego może wyniknąć? Nie jestem pewien, czy udało mi się to odkręcić. I co ci przyszło do głupiego łba, aby kapitanowi taką

kometę zasunąć, po coś wymyśliła jakichś kuzynów, gadaj!

—Dobrze ci rządzić, trzeba było wtedy być i samemu się nadstawić... W tym mętliku nie pouczyłeś mnie, co mam mówić, jak zapyta, czyja willa, a jak on zaczął nad metrażem deliberować, no to tak mi się z rozpędu powiedziało —

usprawiedliwiała się Nela Oziemkowa.

—Z tego rozpędu do ciupy trafisz!

— Ty mnie kryminałem nie strasz, jeśli trafię, to razem z tobą! Przecież dobrze chciałam, wszystko robiłam, żeby ciebie w cieniu zachować, a teraz mam podziękowanie !

—Lepiej z mądrym zgubić... — mruknął. — Ta twoja bujda ma krótkie nogi, wystarczy do hipoteki zajrzeć i on to zrobił! A teraz jesteśmy bardziej podejrzani, niż byśmy mieli dwie wille!

—• A ja wiedziałam, że go do hipoteki zaniesie?

—Bóg mnie wami skarał! Teraz przynajmniej zapamiętajcie, co ja mu powiedziałem...

— I po coś ty tam chodził, skoro ciebie nie wzywał!

—Naprostować to, coś namotała! Wreszcie zamknij się, słuchaj

! Jestem właścicielem willi, nie mieszkam w niej, bo: primo —

mam mieszkanie kwaterunkowe i szkoda mi się go pozbywać.

Secundo —

moje mieszkanie jest w pobliżu „Wodnika“, co także ma dla mnie znaczenie. A po trzecie w tej połowie domu ulokowałem swoje oszczędności, tak jak inni lokują je w PKO albo w pończosze, i jak przejdę na rentę, to sobie na Kryształowej zamieszkać albo wynajmę, moja rzecz... Zrozum, że posiadanie domu to nie żadne przestępstwo.

— Cienko zaśpiewasz, jak on cię zechce z lokaty rozliczyć, skądżeś forszę wziął. Przecież nie z tych tysiąc dwustu złotych portierskiej pensji to nastukałeś, nie?

— Może mi nakiwać palcem w bucie, napiwki portierzy dostają, powszechnie wiadomo, a ciebie niech o to głowa nie boli!

— Boli! Bo i o moją skórę tu chodzi — Czerwone placki wykwitły na policzkach Neli Oziemkowej.

—Ciebie to nie dotyczy, bo tę rudę w spadku dostałaś. I pamiętaj: jeśli cię zapyta, masz sprostować tych idiotycznych kuzynów.

—A po co ma mnie pytać, jeśli już mu powiedziałeś!

— Nie udawaj głupszej, niż jesteś, słuchaj!... Powiedziałem mu: „Nie rozumiem, dlaczego Oziemkowa o jakichś kuzynach bredziła, na mózg jej padło ze strachu czy co? Sprawa jest prosta, panie kapitanie, to była zdewastowana chałupa, wyłożyłem na remont generalny za notarialne odpisanie połowy... Telefonicznie powiadomiła mnie o tym strasznym wypadku, zaraz jak tylko panowie odjechali. Kiedy dowiedziałem się od niej, że wprowadziła pana w błąd, natychmiast przyszedłem, aby ten błąd sprostować“. I to wszystko!

—A co ja mu powiem, dlaczego skłamałam?

—Złękłaś się, że on kwaterunek napuści, więc wymyśliłaś więcej właścicieli.

—A ty mi kazałeś powiedzieć prawdę?

—A ja ci kazałem powiedzieć prawdę i za tamto cię skrzyczałem, zapamiętaj!

—Tak, zrobiłeś mi dziką awanturę! — pojętnie przyznała Nela.

— Dokładnie mi powiedz, coś mu jeszcze natrąkotała. A przecież cię uczyłem: jak najmniej mówić! Nie pytać, odpowiadać tylko, krótko odpowiadać!

Oziemkowa sumiennie dała stenogram rozmowy z kapitanem Czarnotą. I tym razem już niczego nie przemilczała.

—Posprzątałismy z Kometa i dziewczynami, wszystko pomyli, podłogi nawet przetarłam. Przez cały czas, aż do jedenastej wietrzyłam, ani niedopałka nie zostało. I wszystkie śmieci zakopałam.

—O Komecie nie wspomniałaś?

—Przecież przykazałeś ani słowa, a ja też nie taka głupia jestem!

— Przestań ujadać... Kometa! — Milczący dotychczas osiłek spojrział na niego spode łba. — Ty naprawdę nic nie słyszałeś?

—Nic, jak Boga kocham! Przyszedłem jak zwykle o jedenastej, otworzyłem drzwi i poszedłem se pojeść do kuchni.

—I popić! — miauknęła Nela.

—Szefowa to na mnie zawsze z pazurami.

—Ceśka nie zeszła do kuchni? — Kometa zaprzeczył. — A ty...

nie zajrzałeś do niej?

—Jeszcze czego! — prychnął Kometa. — Żeby ta szpiclówka potem szefowej gadała, że ja się bez potrzeby po piętrze włóczę, węszę, szperam. Nawet dziwno mi trochę było, że ona do kuchni na przespiesi nie przyszła, bo jak tylko była w domu, to zawsze, gdy jadłem kolację, wisiała nade mną jak sęp, jakby każdy kęs mi liczyła.

— Nie kęsy, tylko kieliszki — wtrąciła się znów Nela. — Żeby nie ona, to byś już dawno na marskość wątroby wykito- -wał!

— Widziała mnie szefowa kiedy pijanego?... No to czego tak szczebrać po próznicy?

— Jak ty się do mnie odzywasz? — uniosła się Nela.

—Zamkniesz ty się wreszcie, stara ryfo! — warknął Władeczek.

— Co było dalej ?

—Wiga przywlokła w trupa zalanego Norwega, mogła być dwunasta... No, przecież na zegarek nie patrzyłem, do głowy mi nie przyszło, że Ceśkę zakoszą. Skaranie boskie było z Norwegiem, bo nosem bańki puszczał, a jeszcze chciał gorzały.

No to mu dałem, żeby nie rozrabiał, bo zaczynał być głośny... Potem zablokował łazienkę na dole.

Myślałem, że mu kichy wyrwie, zląkłem się, że go szlag trafi... No to dawaj go leczyć. Przyrządziłem mu „ostrygę“, potem kawę z cytryną, rzygać przestał, ale słaby był jak dziecko... Potem nadciągnęła Madonna, ale ja wciąż byłem zajęty tym Norwegiem, tak że drzwi Wiga im otworzyła.

— Która mogła być godzina?

—Skaż mnie Bóg, nie wiem, koło drugiej może... Dziewczyny nie wiedzą, a szef chce, żebym ja wiedział, jak wciąż miałem polkę z tym facetem... Ja nie jestem za tym, żeby dziewczuchy tych Skandynawów sprowadzały, z nimi zawsze kłopot, piją, jak nie przymierzając nasi... Anglik Madonny był korekt, podałem mu scotcha i cichy był jak myszka.

— Długo nie będzie tu ani Skandynawów, ani Anglików —

skrzywił się Władeczek.

—...w łazience ciągle ten Norweg, namawiam go, żeby wyszedł, to go wygodnie ułożę, a on nic, tylko pledu i poduszki zażądał

i tam tak trzeźwiał... No to Madonna poszła na górę i wtedy znalazła Ceśkę zamkniętą na klucz w tamtej łazience... I tak przytomna dziewczyna, bo chociaż się trzęsła, to wizgu nie narobiła, tylko przyleciała do mnie. Zaraz zawiadomiłem pana i to wszystko.

— I naprawdę nikogo więcej nie widziałeś? — Władeczek świdrował wzrokiem Kometa.

— Nikogo.

— To znaczy, że od jedenastej do północy byłeś zupełnie sam!

—Sam... — przyznał Kometa i dopiero po chwili uderzył go dwuznaczny sens tego zdania.

Zwężyły mu się oczy, dwie bruzdy wyskoczyły na zmarszczone czoło. — Szefie, dziewczyny ja wpuszczałem, to prawda! Ale pana nigdy, bo pan ma własne klucze! I ja na służbę przychodzę o jedenastej, przedtem mnie nigdy nie ma! Ja nie odpowiadam za to, co się zdarzyło przed jedenastą, niech pan to sobie dobrze zakontuje!

— Co chcesz przez to powiedzieć? — poderwał się Władeczek.

— A to! — wyszczerzył się Kometa. —

To, co powiedziałem... Ja z siebie kozła nie dam zrobić, niech pan mnie lepiej nie tyka, bo jak przyjdzie co do czego, wszystko powiem!

— Co na ten przykład?

— Już pan wie, to, co pana najbardziej boli! Ja tu tylko odzwierny jestem, w najgorszym razie na ile pójdę do szkoły, na rok? Tyle to i na żyletce przesiedzieć można.

— I pomyśleć, że ja taką wesz z gnoju wyciągnąłem! Słuchaj i zapamiętaj: nie takich kozaków wyławiali z Wisły, nawet mury cię nie ochronią... Nieszczęścia chodzą po ludziach! —

Władeczek powiedział to spokojnie i ten spokój był nie mniej złowrogi niż sens słów.

— Ja nie zaskieruję! — usiłował sprostować swój wybuch Kometa. — Ale czemu mi pan takie wredne pytanie postawił! Ja przecież nie wróg, ale za bezdur- no, z dobrej woli uszu po sobie nie położę; przecież mi pan niezawinione morderstwo chciał wmówić!

— Na miłość boską, przestańcie się zreć! Porę sobie znaleźli, aby do oczu skakać, wszystkich nas jeden wózek wiezie — Nela przeistoczyła się w gołąbka, zapominając, że przed chwilą sama groziła szefowi.

— Głupi jesteś, żadnych wrednych pytań ci nie stawiam, przecież na policji nic

o tobie nie wiedzą. Nikt z nas o tobie nie wspomniał i nie wspomni — podkreślił Władeczek. —

A teraz gadać prawdę: nic u Ceśki nie ruszaliście po moim wyjściu?

— Nic... Ja tylko... — zająknęła się Nela — flaszki koniaku i kieliszek jej dostawiłam, bo... tak bez sensu w tym fotelu ją posadziliście.

— Tylko! — chwycił się za głowę Władeczek. — Uuch! Ty głupoto...

— Tylko bez wyrazów! — wrzasnęła Nela.

— Wrobisz nas wszystkich, jak twoje paluchy tam znajdują!

— Przez ręcznik brałam, nie tylko ty jesteś mądry! —

wyjaśniła z dumą. Władeczek wyraźnie odetchnął.

— Coś jeszcze ulepszyła? — Nela zakłęła się, że już nic. —

Ile hajcu ci drap-

nęli, tylko nie zawyżaj, ja nie jestem PZU, odszkodowania i tak ci nie dam!

— Dwieście.

— A teraz nóżki na stół, piekielne dziateczki. Kasetka to nie wasza robota? Bo jak w tym ogólnym mętliku zobaczyliście zakitowaną Ceśkę i ten wymieszany pokój, pewnie pomyśleliście, że kasetka też ma prawo zginąć? No, które się skusiło? Czy też oboje razem? — omiółt ich spojrzeniem. — Ogłaszam amnestię, jeśli się teraz dobrowolnie przyznacie. Słowo!

— Milczeli. — Śpiewać mi, do diabła, ho jak sam dojdę, dopiero poznacie moją rękę.

— Ty głupiejesz z tych nerwów — odzyskała mowę Nela. —

Stuknij się w głowę, co mnie albo Komecie, chociaż obwieś, po twojej kasetce? Wszystkie dane u ciebie, a tu gołe numery, już nie mówią, że ona stalowa, a klucz też u ciebie. No to co by nam z tego przyszło, sam powiedz?

— Musiałem się upewnić, bo teraz przynajmniej wiem, kto ją chapnął... To znaczy, że da się odzyskać, bo jemu już na pewno do niczego się nie przyda.

Natarczywie zabrzmiał dzwonek u drzwi; umilkli, popatrzyli po sobie.

— Kryj się, Kometa — rozkazał Władeczek.

— A ty? — zaniepokoiła się Nela. — Jeśli to kapitan...

— Jestem we własnym domu! Ty się boisz teraz sama być wieczorami! No, nie patrz jak krowa morska, zlikwiduj kieliszek Komety, a nam polej gorzały... — Dzwonek odezwał się znów.

— Dzwoni sygnałem... to któraś z dziewczyn — odetchnął nad słuchujący Kometa.

Madonna wpadła jak bomba. Zamurowało ją na widok zastawionego stołu i tej spokojnej, jak jej się wydawało, trójki.

— Kazałem ci się trzymać z daleka! — skarcił ją Władeczek; dziewczyna określiła dosadnie, gdzie ma jego zakaz. Powiedziała to wysokim głosem i tonem nieznośnej dziewczynki.

Potrząsnęła głową, odrzucając z delikatnej buzi popielate, proste włosy. Była piękna i świeża, głos miała dźwięczny, nie zdarty jeszcze przez alkohol.

— Heca w mieście, szoferaki szukają taryfiarza, który miał zabrać jakiegoś kulasa.

— Kto ci to powiedział? — poderwał się Władeczek.

— A kto, kierowca, jechałam taryfą... Nie spadnij z krzesła, Władeczek, jak ci powiem, skąd miał być zabrany ten kulasa... — wyczekała moment — spod twojej stajni, stąd, a szoferów napuściło emo, co ty na to?

— Ja nawet widziałem tego kulasa i nie spadłem z krzesła.

Siedzi u Mostowskich, sam kapitan mi go okazał, tak! Moje dzieci, trzymajcie się taty, a nie zginiecie... Z tą rewelacją przysłaś?

— Nie, z inną! Glina o mnie pytał — zawiadomiła ponuro.

— Wielka rzecz, one też muszą pokazać, że nie za darmo pensje biorą.

— Nie z obyczaj ówki — pokręciła głową Madonna. — To facet...

facet z kryminalnego! Ciesiowi blachę okazał, miałam szczęście, że mnie nie było. Ciesiowi lafę płacę, to mnie uprzedził... Władeczek, ja się boję... — zakwiliła, do reszty tracąc tupet.

— Tylko bez hysterii! Nelka, na co czekasz, nalej jej gorzały! Opanuj się, głupia, czego ty się masz bać, kto cię tutaj widział? Nikt! Nie było tu ciebie nigdy, rozumiesz?

— Tego kulawca też nikt nie widział, nikt nie słyszał, a jednak go wymacali i sam mówisz, że siedzi! — siąknęła nosem, upiła łyk koniaku.

— Taksówkarz go sobie skojarzył! — mruknął Władeczek.

— A ja to czym przyjechałam? — chlipnęła znowu.

— Gdzie wtedy wysiadłaś? — zachmurzył się Władeczek.

— Gdzie... gdzie... tutaj! — kilkoma łykami wysączyła pełny kieliszek.

— Ile razy przestrzegałem, aby nie wjeżdzać taryfą na Kryształową — zdenerwował się Władeczek. — Nic, jak groch o ścianę! Cholerne dziwki, jedna z drugą nie mogą dupy kawałek ponieść, musi ją pod sam dom przywieźć! To teraz nie będziesz jeździć, tylko będziesz siedzieć!

— Ja... Ja nie wytrzymam w mamrze, ja jeszcze nigdy nie siedziałam!

— To zaczniesz!

— Ja nie chcę w ogóle zaczynać!

— Każda kurwa musi się z tym liczyć, to kosztą zawodu!

— Esesman! Ty mnie nie gnęb, bo ja się mogę zdenerwować! — zapiszczała wysokim głosem.

Władeczek poderwał się z niewiarygodną jak na jego wygląd zwinnością. Klasnęły dwa

uderzenia. Dziewczyna chwyciła się za twarz. Na jej policzkach wykwitły czerwienią ślady palców portiera; wlepiła w niego oniemiałe spojrzenie.

— Ty wredny alfonsie, popamiętasz mnie... Ty i cała wasza szpana!

— Spadła szyszka na jelenia, to ryczał... — Władeczek chwycił

ją za kark, drugą ręką przycisnął jej usta i wyniósł z pokoju, jak niesfornego szczeniaka; usłyszeli mysi, zgłuszony lejącą się z kranu wodą pisk, potem tylko jakieś głuchoe odgłosy i nieustanny szmer wody w łazience. Kometa i pobladła Nela spojrzeli na siebie.

— Okropnie go wkurzyła... On nie cierpi tego przezwiska —

westchnęła Nela. — Ale też nie powinien ją od kurew wyzywać.

— Erotessa, co? — skrzywił się Kometa. — Dobrze, że przytarł jej rogów, dawno się należało...

— mruknął z satysfakcją. Oboje, może nawet niejasno zdając sobie sprawę, odetchnęli z ulgą: furia szefa skrupiła się nie na nich, tylko na tamtej.

Władeczek wrócił, popychając przed sobą dziewczynę. Pchnął

ją na fotel. Leżała w nim bezwładnie, z przymkniętymi oczyma.

Na jej poszarzałej twarzy nie było śladów pobicia. Ale Władeczek miał swoje sposoby, umiał zmaltretować, nie pozostawiając znaków.

— Nalejcie jej koniaku! — rozkazał. — No, nie udawaj zdechłej

— potrząsnął dziewczyną za ramię. — Dostałaś średnią porcję, nic ci nie będzie, wypij! — przysunął jej kieliszek; wzięła kieliszek i wychyliła bez oporu.

Władeczek wielkimi krokami przemierzał

pokój, wreszcie siadł, aż jęknęła stylowa kanapa — przysunął sobie butelkę.

— Taki zgryz mamy, a ta staje okoniem

— poskarżył się w przestrzeń.

Nikt się nie odezwał.

— Jak będziesz się stawiała, to na przyszły raz gorzej będzie! — wypluwał resztki złości.

— Tak jak z Cešką? — wyszczerzyła się znowu.

— Nie wiem, kto urządził Ceškę — już był opanowany — ale tobie osobiście cyferblat wygraweruję, jeśli jeszcze raz spróbujesz podskoczyć, słowo!

— I po co się wyzywać, nie lepiej zgodnie? — po raz drugi wkroczyła z gałązką oliwną Nela. — Władeczek, naucz ją, co ma w razie czego na glinowie mówić, a ty już przestań się odszczekiwać — skarciła dziewczynę.

— Co ma mówić... — namyślał się. — To nie jest takie pewne, czy tajniak był właśnie w tej sprawie. Co innego szukanie złodzieja, a co innego dziewczyny, której nikt nie widział.

Nie mógł widzieć — podkreślił z naciskiem i, spojrzął na nich groźnie. — Wariujecie z tej cykorii... Naucz się raz na zawsze, Madonna, że ciebie tu nigdy nie było, czy to takie trudne. W tej chwili, na przykład, nie ma ciebie w „Bristolu“ i w wielu innych miejscach, także samo nigdy nie było cię tutaj!

— Ja jestem spokojna, mnie tu nie było — ożyła Madonna —

ale czy kapitan uwierzy, jak mu szoferak doniesie?

— Idziesz na zaparte! — znów się zirytował na samą myśl o ewentualnych komplikacjach. — Tylko musisz trzymać się twardo i nie drygać, jak ci będzie mam-rem przygrazał. Nic ci nie zrobi. W najgorszym wypadku czterdzieści osiem godzin przetrzymają, no to co, ubędzie ci? I najwyżej kazania wysłuchasz, jeśli to glina społeczny.

— Łykiesz sobie pokojówkę i nie będziesz w nerwach —

pocieszyła Nela.

— Nie masz innego wyjścia — włączył się Władeczek. — Jeśli im powiesz prawdę, to się dwoma dobami nie wykupisz, w kartotekę kryminalną trafisz. A to już nie to samo. Pójdiesz na zaparte i z punktu odpucujesz się od całej hecy, co, źle mówię?

Madonna przyszła w skromniutkiej sukience, bez makijażu, popielate włosy miała upięte w kucielkę. Przysiadła na brzegu krzesła, obciągnęła spódniczkę i położyła ręce na kolanach; sprawiała wrażenie miłej, dobrze wychowanej dziewczyny. Mówiła poprawnie, bez żadnego slangu. Nie przyznała się, że tamtej nocy była na Kryształowej; nie była tam ani wtedy, ani nigdy.

Taksówkarz? Pewnie mu się coś poplątało i nawet nie posądza go o złą wolę, po prostu pomylił ją z kimś innym. Owszem, ona jeździ taksówkami, nawet dość często, ale na Kryształowej nigdy nie była. Zamordowano tam kobietę? Tak, w knajpie obito się jej to o uszy, podobno mieszkała u jakiejś szatniarki z

„Wodnika“. Ależ tak, ona może ją nawet zna z widzenia, przecież bywa często w „Wodniku“, ale bywa także w

„Europejskim“, „Bristolu“... Nie, nie wie, która to szatniarka...

Nic z niej nie' wydobyłem. Wprawdzie taksówkarz upierał się, że to ona, ale nikt nie mógł potwierdzić jego zeznania — postanowiłem ją więc puścić.

Oczywiście bez trudu mogłem przekonać prokuratora i uzyskać sankcję na zatrzymanie jej, wolałem jednak pozostawić ją na swobodzie. Wdzięczny obiekt dla wywiadowców, nie to, co chałupa dziadka Osiornego albo jakiś dyrektor zakładów garmazeryjnych.

— Dziękuję pani. — Spojrzała na mnie zdumiona, jakby nie pojęła tego, co powiedziałem. — Dziękuję, może pani iść.

Wolno podniosła się z krzesła, wciąż mi się przypatrując.

Aha, zrozumiałem. Przygotowana była na najgorsze, na stoczenie heroicznego boju w obronie zmyślonej na mój użytek opowieści, a tu nic z tych rzeczy.

Rozbawiła mnie trochę; toto myślało, że mnie oszwabiło; ale nie mogłem namawiać jej do okazania skruchy czy szczerych wy-znań, bo natychmiast straciłaby dla mnie szacunek i takiemu harcerzowi tym bardziej nic by nie powiedziała.

Osiornego w ogóle z nią nie konfrontowałem, stwierdził

przecież, że widział tylko kraj szyfonowego szala i pantofle.

Zenek wciąż był u nas; ciągle liczył na zwolnienie, mając jeszcze nadzieję na wywinięcie się ze sprawy sądowej, skoro Nela Oziemkowa nie zgłosiła o zaginięciu dolarów, a my nie posiadamy dowodów, stwierdzających, że kradzież została popełniona.

Dziadek Osiorny już po raz drugi przyszedł z paczką dla wnuka; powłóczył okutaną bandażami nogą obutą w płytki kalosz, wspierał się na lasce. Kasłał, przystawał niemal na każdym stopniu schodów, gdy go odprowadzałem do wyjścia.

— Kostusia już na Osiornego szponem kiwa — uśmiechnął się do mnie, ciężko dysząc.

— Po prostu upał — pocieszyłem go; rzeczywiście było trzydzieści stopni w cieniu i miasto przypominało rozpalony tygiel.

Przymknąłem oko na regulamin i pozwoliłem na obie paczki, mimo że upłynął tydzień od zatrzymania Zenka; żal mi było starego, nie chciałem odprawiać go z kwitkiem. Oczywiście przesyłki zostały dokładnie sprawdzone, lecz nie znaleziono w nich niczego zakazanego.

Zaraz po otrzymaniu drugiej paczki Zenek zaczął narzekać na nogę, domagał się prześwietlenia i z początku nie skojarzyłem sobie, że to ma bezpośredni związek z wizytami dziadka. Nasz lekarz

wysłał Zenka do pracowni rentgenologicznej polikliniki na Wołoską; byłem o tym poinformowany i nawet nie zastosowałem jakichś specjalnych środków ostrożności. Ot, ^zwyczajnie, jak każde regulamin, pojechał z nim jeden konwojent.

Następnego dnia po tej wizycie Zenek zapragnął nagle rozmowy ze mną. Oczywiście kazałem go natychmiast przyprowadzić, chociaż podejrzewałem, że Osior- nemu nudzi się po prostu samemu w celi, w tej sytuacji każde wyjście stamtąd i wędrowka po korytarzu komendy są dla niego pewną atrakcją.

— Odwołuję poprzednie zeznanie — oświadczył z determinacją.

— Co mianowicie? — nie mogłem zrozumieć, co mu się stało; siedział ponury, unikał mego spojrzenia.

— Wszystko.

— Aha, w ogóle nie byłeś na Kryształowej?... Zenek, ja nie mam czasu na głupstwa, zjeżdżaj na dół!

— Kryształowej się nie wypieram, co prawda, to prawda, ale: nie widziałem nikogo w nocy — to raz. Roboty nikt mi nie nadawał, sam z siebie tam poszedłem — to dwa. Żadnych dolców nie znalazłem i nikt mnie nie wypchnął, tylko sam się zwałem

— to trzy. A reszta to tak, jak powiedziałem za pierwszym razem.

— Siadaj i pisz! — wetknąłem mu w rękę długopis, popchnąłem w stronę stolika pod oknem; przyglądał mi się podejrzliwie, zdezorientowany, przewidując podstęp. — No, co się wytrzeszczasz? Smaruj sprostowanie, żywo, bo nie mam czasu.

Usiadł zrezygowany i pisał; pisał i zezował na mnie, zezował i pisał. Niesporo mu szło. Przestałem zwracać na niego uwagę.

Dlaczego odwołuje? — zachodziłem, w głowę. Wersja, którą podał teraz, jest nawet prawdopodobniejsza od poprzedniej, ale dla niego znacznie mniej korzystna. W tej sytuacji może się spodziewać procesu poszlakowego o zabójstwo. Na pewno to rozumie, więc z jakiego powodu dobrowolnie pogarsza swoją sprawę? Odwołuje kradzież dolarów — to mogę zrozumieć, ale dlaczego w pierwszym zeznaniu obciążył się tą kradzieżą? Czemu odżegnuje się od znajomości z Ceską, skoro połowa mieszkańców Utraty może potwierdzić, że mieszkali kiedyś po sąsiedzku? Czy ona nadała mu tę robotę? Naturalnie tego mu w żaden sposób nie udowodnię, rzecz pozostanie na zawsze tajemnicą jego i zamordowanej. Skąd pomysł zmiany zeznań? Osiornym kierował jakiś bezwzględny przymus, inaczej nie zrezygnowałby z wersji wydarzeń, która eliminowała jego udział w morderstwie.

Zaraz po tym Zenkowym manewrze nadeszła do mnie hiobowa wieść, że śmiertelnie zaniemógł senior Osiorny; sposobił się do umierania, wezwany został ksiądz i stary otrzymał ostatnie namaszczenie. Teraz miał już tylko jedno pragnienie — zobaczyć wnuka.

— Wnuczkę po mnie przysłał — w tej sprawie przyszedł do mnie dzielnicowy. —

Stary leży, popłakuje i prosi... Człowiek nie kamień, obiecałem, że wstawię się u pana. Mnie trochę szkoda starego, ale niech kapitan decyduje!

No cóż, może ostatnio dziadek poczuł się źle, ale...

Podejrzewałem w tym jakiś podstęp. Wszystko zaczęło się po otrzymaniu pierwszej paczki; wprawdzie niczego tam nie znaleziono, jednak liczyłem się z tym, że pomysłowość starego złodzieja przekroczyła możliwości naszych profosów. Potem był

wyjazd do polikliniki i zaraz gwałtowny zwrot z zeznaniami Zenka — a teraz umiera dziadek!

Poprosiłem do siebie milicjanta, który konwojował Zenka na prześwietlenie.

— Osiorny widział się z kimś w przychodni? — Konwojent zaprzeczył. — A może po drodze?

— Nie, z nikim poza psem, który się do nas łąsił! —

roześmiał się milicjant.

— Z psem!—Niewiarygodne. — Płowy, duży pies z czerwoną obrozą?

— A skąd kapitan wie? — zdumiał się konwojent.

Naturalnie Aza! Ten występny kundel ze ślepiami jak dwa opale. Osłupiałem. Nie, tego ja im nie daruję, tak mnie na-brać... O, łotry! I pomyśleć, nawet łąsiła się do konwojenta!

Ale kto ją tam przyprowadził? Umierający dziadek czy Ewka, siedemnastoletnia siostra szlamiarza, co to podobno chodzi do szkoły, dobrze się uczy i jak dotychczas nie ma nic wspólnego z rzemiosłem dziadka i brata. I gdzie ukryto wiadomość?

Obroża! — olśniło mnie nagle; nabijana złotymi ćwiekami, piękna, szeroka obroża! W niej można ukryć nie tylko gryps, maleńki skrawek bibułki, ale nawet klejnot z carskiej korony!

Czyżby ten przewrotny czworonóg chadzał ze swym panem na szlam w charakterze współnika przenoszącego łup?

A więc dziadek Osiorny ma niezwykle ważną wiadomość dla Zenka, inaczej po cóż by wyprawiał takie hece z księdzem i olejami. Teraz zrozumiałem jego zachowanie, gdy przychodził do mnie z paczkami; ta opatulona bandażami noga, kalosz, laska i dychawiczny oddech. Filut był z tego dziadunia! Pięknie to wyreżyserował,

a zagrał — ani słowa! A jak wspierał się o moje ramię, wchodząc po schodach, wyglądało na to, że ledwie już ciągnie. Chapeau bas dla starej kadry!

Wydłubałem Zenka z aresztu i z okolicznościowo poważną miną zawiadomiłem go o dziadkowym umieraniu. To także była nieodrodna latorośl domu Osiornych i dziadek słusznie nim się chlubił. Trzeba było widzieć Zenkowy smutek! Nie, żadnej przesady, żadnej szarży; boleść wyrażał bardzo oszczędnymi środkami. I nawet mrugnięciem oka, drań, nie zdradził zdziwienia, że nie konwojent, tylko ja sam holuję go do dziadkowego łóża.

Stary Osiorny przykładnie leżał w pościeli, srebrna głowa spoczywała wysoko, na spiętrzonych poduszkach — z roli nie wypadł, ale cerę miał czerstwą.

—Dziadusi!

—Wnuku kochany!

Byłem niemal wzruszony i szczerze podziwiałem maestrię gry; zachodziłem w głowę, w jaki sposób oni się porozumiewają.

Chyba dziadek nie będzie taki bezczelny. aby błogosławić wnuka grypsera — w takim wypadku będę musiał okazać się brutalny i przerwać spotkanie.

Nie, tego mi nie zrobił, znalazł się na poziomie — wszystko w ramach obowiązujących przepisów. Ale Zenek gryps otrzymał.

Stało się to pod sam koniec wizyty, kiedy dziadek tak już siedział w roli, że płakał jak bóbr; nie przeszkodziłem żadnym gestem ani słowem, cierpliwie doczekałem końca spektaklu, dopiero w samochodzie odebrałem Zenkowi skrawek bibułki, przyklejony między serdecznym a małym palcem lewej ręki.

Spojrzał na mnie z rozpaczą, lecz nie powiedział ani słowa.

Gdy przekazywałem go profosowi aresztu, milczał uparcie.

Bibułkę pokrywała grypsera:

Nie znaczezym! Siódemka nie świruj kaltas! Zarbajtowane cekiny nie kwokta- my. Safes! Wystawiłeś interes ale zora nie wyszedł, to nie wstawiaj szuflady. Więc kopsnij safes. Daj cynk ze szkoły, a na zycher dwadzieścia zeszytów leci. Odpucuj binie na spowiedzi, nie francuj Haliny, bo zaskierujem Ewkę.

W przekładzie na ludzki język brzmiało to mniej więcej tak: Nie znasz nas, ale my wiemy, żeś ukradł, więc nie udawaj wariata. Nie wnosimy pretensji o zabrane pieniądze, ale musisz oddać sejf! Wiemy dobrze, że to ty go zabrałeś, więc nie wypieraj się, tylko powiedz, gdzie on jest i daj znać z aresztu. Zapłacimy ci za to dwadzieścia tysięcy złotych... Nie obciążaj dziewczyn (a może -dziewczyny?) zeznaniami. Nie gadaj o melinie, bo zaszkodzimy Ewce.

—
Halina“ to z całą pewnością oznacza melinę, ale „Ewka“? —
biedził się Leszek.

— Ewka? Przecież tak ma na imię siostra Osiornego! Mogą zrobić krzywdę dziewczynie... —
zaniepokoiłem się. Oczywiście mógł to być bluff; chcieli zastraszyć i wymusić zwrot jakiegoś tam sejfu, ale jakaż gwarancja, że nie spełnią groźby?

Nie miałem pojęcia, kim są autorzy listu, nie byłem w stanie niczemu zapobiec. Domyślałem się tylko, że ci ludzie mają bezpośredni związek z morderstwem na ulicy Kryształowej.

Rzuciłem się do selektora — wywołałem dzielnicę. W kwadrans później odebrałem odpowiedź: dziewczyny nie ma! Stary Osiorny jest chory z rozpaczy, ale milczy jak zakłęty!

Co robić? Miałem wrażenie, że stalowy łańcuch krępuje mi ręce. Oczywiście mogłem zaalarmować zwierzchników, domagać się postawienia w stan pogotowia całej służby w mieście. Mogłem przedstawić natychmiast plan wielkiej akcji poszukiwań, powielić i rozkolportować wśród wszystkich funkcjonariuszy fotografię dziewczyny, zmobilizować dzielnicowych, uruchomić radiowozy, wywiadowców.

Ale wyobraziłem sobie mojego naczelnika. Nie lubi on takich akcji... I te pytania: jak do tego doszło, dlaczego nie prze-widziano wcześniej podobnego obrotu sprawy, w ogóle dlaczego jeszcze nie znaleziono mordercy! I kto jest za to odpo-wiedzialny? I jakbym go słyszał: „Czego się spodziewacie, kapitanie, po takiej akcji? Że w ten sposób odnajdziemy dziewczynę? Mocno wątpię... A wicie, kapitanie, ile to pieniędzy pochłania?...“

Nie, nie tędy droga; co zrobić, aby nie zaszkodzić dziewczynie? A wszelka, szeroko zakrojona akcja, może Ewie Osiornej tylko zaszkodzić.

— Ty skur... — skoczyłem na Zenka — pisz mi tu zaraz do dziadka, niech pertraktuje!

— Ewka?!!! — poszarzała mu twarz.

—Gdzie masz ten sakramencki sejf? Mów mi zaraz!

— Co pan sobie myśli, że ja bym im nie oddał, gdybym miał?

Siostrę bym za jakieś gówno sprzedał? A chociażby nawet i szczerozłoty był!

—Zdążyłeś go już opchnąć? Gdzie, komu, gadaj!

—Niech ja jutra nie doczekam, jeśli wiem, o co ten gwałt!

Nie tylko nie brałem, ale na oczy nie widziałem żadnego sejfu.

Gdyby w pierwszym grypsie nie napisali, że to miało być z Kryształowej, to wpierw bym skonał, niż się domyślił... Ktoś podpieprzył, a na mój rachunek poszło albo na lewe mnie wrabiają! Bodaj ta dziwka w grobie spokoju nie miała!

— Ty ciężki idioto! Dlaczego grypsujesz, zamiast od razu mi powiedzieć!

— A pan, co by pan zrobił na moim miejscu? Tylko niech pan kapitan wejdzie w moją skórę. Ja jestem Zenon Osiorny, szlamiarz, i siedzę w kiciu, jak pragnę pokochać, nie wiem za co, a tam na wolności szpana, o której nie mam pojęcia, dyktuje warunki mojemu dziadkowi. I nic więcej nie wiem, tyle tylko, co mi stary prze- grypsuje. No to niech pan powie, tylko zaznaczam, nie jako kapitan, ale jako Ze- nek-szlamiarz. poleciałby pan z gębą, kiedy oni w każdej chwili mogą nie wiadomo co zrobić?... A gryps to nie list, nie roz-piszesz się pan w szczegółach, co i jak. I jakie ja

mam prawo dziadkowi w parafię paskudzić, jeśli on jest w kursie i wszystko robi, aby dziewczynę uchronić. Dziadek, panie kapitanie, nie jest głupi, w nim siedmiu diabłów siedzi, a jeden od drugiego chytrzejszy... A pan co by zrobił? — Nie dawał mi się wymigać; nie, nie udzieliłem mu jednoznacznej odpowiedzi, co ja

w takiej sytuacji zrobiłbym na jego miejscu. Zmieniłem temat.

—Zenek, co tu oznacza sejf? — Pokazałem bibułkę, dla przekazania której siedem diabłów dziadka Osiornego musiało się wypowiedzieć i przyjąć ostatnie namaszczenie.

Grypsera to żargon bez żadnych reguł, płynny i zmienny. W

zależności od środowiska te same słowa mogą mieć odmienne znaczenie. Zenek przebiegł oczyma tekst, łypnął na mnie spode łba i zawahał się; przestępcy niechętnie zdradzają tajemnicę swego języka-szyfru.

— Może być każda kasa żelazna, kasetka też! — wystękał wreszcie, jakby wyrwał sobie z głębi trzewi te kilka wyrazów.

Kasetka! Nareszcie uwierzyłem, że O- siorny nie kłamie —

rzeczywiście nie on wziął kasetkę. I dopiero w tej chwili doceniłem informację taksówkarza o pasażerze, który w noc świętojańską wsiadł do jego wozu na Belwederskiej w pobliżu Grottgera; człowiek wadliwie wymawiający literę er — lub mówiący bełkotliwie — zrabował kasetkę i najprawdopodobniej zamordował Czesławę Antoniak.

Co może zawierać szkatułka — kufere- czek, jak określił ją kierowca taksówki. Aby ją zdobyć, ktoś zabił kobietę, a teraz ktoś inny porwał niewinną dziewczynę, żeby tylko odzyskać zagadkowe pudełko.

—Zenek, muszę porozumieć się z twoim dziadkiem. My nie możemy siedzieć z założonymi rękoma, a bez naszej pomocy dziadek nic nie zdziała. Napisz mu, niech mi w tej sprawie zaufa!

Zenek milczał, znów łypał na mnie spode łba, w rozterce targał sobie włosy na głowie. Ogarniała mnie złość, czyż on nie rozumie, że tylko milicja może uratować dziewczynę?

—Zenek, do cholery, nie mamy czasu do stracenia!

—Ja się nie namyślałam — stęknął; wpatrzony w swoje palce, wykonywał jakieś bezsensowne ruchy. Zrobiło mi się nieswojo, chłopak splatał wyrwane sobie włosy, wiązał je śpiesznie, jakby w tej chwili to było najważniejszą sprawą na świecie.

—Zenek! — ogarnęła mnie rozpacz; zwariował czy udaje?

—Nie zgrywam świerszczyka, kapitanie! — Podał mi cieniutką, misterną plecionkę, którą bez trudu można było ukryć. Taki był znak Osiornego do dziadka.

Pomysłowe! Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby mieli jakiś kod z węzełków na włosie. Wyobraziłem sobie bezradność naszych profosów wobec takiego telegrafu! Ja sam, gdybym dostrzegł coś takiego w jedzeniu, najwyżej otrząsnąłbym się z obrzydzenia i pomyślał: cholerne brudasy!

—Wolałbym ujawnić pięć sejfów... — westchnął Zenek, patrząc smętnie, jak chowam jego znak.

I wtedy zadzwonił telefon.

—Mówi sierżant Zawiaślak, panie kapitanie, rencista MO. — To był emerytowany dzielnicowy z Utraty. — Mam coś bardzo ważnego.

—Właśnie jadę do Osiornego.

—Proszę przyjechać do mnie... — podyktował mi adres. —

Czekamy!

Pomyślałem, że dziadek otrzymał jakąś wiadomość o dziewczynie i poszukał pomocy u starego dzielnicowego, którego sobie bardzo cenił. Przebrałem się po cywilnemu, na Utratę pojechałem

taksówką.

Dzielnicowy, widać, niedawno się budował, bo jego domek nie miał jeszcze tynku; Zawiaślak — suchy, żyłasty chłop z mleczną czupryną, wyszedł mi na spotkanie, gdy tylko zadzwoniłem do furtki. W mieszkaniu tkwił dziadek Osiorny z nieodłączną fajką. Na powitanie uśmiechnął się — jak mi się wydawało — z zażenowaniem; żadnego przygnębienia, wyglądał czerstwo.

—Ewka jest, kapitanie — zawiadomił mnie Zawiaślak.

— Znalazła się! — odetchnąłem.

—Co się miała odnajdywać, kiedy wcale nie ginęła — mruknął sierżant.

Szlag mnie mało nie trafił! Co sobie ci dwaj starcy myślą?

Przecież niewiele brakowało, a wystąpiłbym z wnioskiem o za-rządzenie poszukiwań! Po starym urce wszystkiego mogłem się spodziewać, ale ten? Zdziecinniał czy jakieś niewyżyte za-wodowe ambicje? Dławiła mnie wściekłość; hamowałem wybuch tylko przez wzgląd na ich siwe głowy.

—Dowiedziałem się przed godziną — wyjaśnił sierżant; do niego bowiem dziadek Osiorny przypro-wadził wnuczkę na przechowanie i opowiedział, że rozgłosił

o porwaniu dziewczyny. — Zaraz też pana zawiadomiłem. Niech jednak Ewka zostanie u mnie, dopóki pan wszystkiego nie dojdzie, ja bym na razie tej wersji nie dementował, nie należy kusić losu...

—A czy pan chociaż wie, jakie mi ten stary hece urzędzą? —

poskarżyłem się na Osiornego.

—Kapitanie! Ja z nim przez dwadzieścia lat miałem skaranie boskie! To był zawsze największy kręt na Utracie, ale w tym przypadku, hm!... — zaciął się sierżant — trochę go rozumiem.

— Osiorny! Fałszywe zameldowania są karalne — wysapywałem złość.

—A czy ja złożyłem jakie zameldowanie? — wlepił we mnie niewinne, błękitne oczka. — Jak przyszedł tajniak z dzielnicy, to tylko powiedziałem mu, że wnuczki nie ma.... A on zaraz sobie nie wiadomo co pomyślał i raban u pana podniósł, to niby moja wina?

— Stworzyłeś pozory.

—Jakie pozory... Że byłem smutny? Ząb mnie bolał, taki sakramencki pieniek mam i mi dokucza.

—Jazda stąd! — huknął nagle Zawiaślak. — Nie będziesz kina w moim domu robił, chwalić Boga na rencie jestem, nie muszę się tobą zajmować!

—Panie sierżancie, ja pana przepraszam, ja tak niechcący, z nawyku... — tłumaczył się stary jak skarcony smarkacz; wszystkie siedem diabłów dziadka Osiornego z wielkim respektem odnosiło się do sierżanta. Ja byłem tylko kapitanem, a sierżant Zawiaślak to ktoś!

—Gadaj, co i jak, nie będę za ciebie oczyma świecił! —

przygroził sierżant.

—Najpierw na Utracie rozgłosiłem — spotulniał dziadek — a potem tak robiłem, aby ten z dzielnicy uwierzył, że wnuszę mi porwali...

—Co pan ma do komendy dzielnicowej?

—Nic... tylko oni zaraz by: a kto, a co, a dlaczego, i kiszkuje się, człowieku. A skąd ja wiedziałem, kto? Jedna rozpacz... A jakby, nie daj Boże, zaczęli za mną cho dzić, niby wedle tego porywacza, a ich tajnych wszyscy na Utracie znają, to dopiero by się ten buldog za niedotrzymanie tajemnicy rozeźlił i naprawdę dziewczynę uprowadził. A tak —

zginęła!... Teraz niech sobie na zdrowie MO wkracza, a i czas najwyższy po temu, bo przecież dziewczuchy długo w ukryciu trzymać nie mogę.

— Osiorny, powiedz kapitanowi wszystko od początku —

rozkazał sierżant.

— Najpierw list podrzucili, żebym wieczorem pod ogródki działkowe podyrdał, jeśli wnuczki w trumnie nie chcą widzieć.

— Ma pan ten list?

— Chytrzy oni, z listem kazali mi na działki przyjść i zaraz go zabrali, a jeszcze przestrzegali przed MO, bo wtedy z per-traktacji nici, a Ewkę jak amen w pacierzu zakoszą... Ani mi w głowie było z donosem na MO latać. Poszedłem na spotkanie, nawet Azy wziąć nie mogłem, bo z wnuczką zostawiłem, to zmyślny pies, kapitanie...

— Coś o tym wiem.

Osiorny spojrział na mnie podejrzliwie, ale mówił dalej:

— Dziewuchę zostawiłem na łasce bożej, tyle co zamknięta na klucz, ale co to jest klucz? Największe złudzenie świata, któż to lepiej wie ode mnie!... Wychodzę więc, a po drugiej stronie ulicy obstawa zelówki zdziera, sunie za mną. Ja pod działki, on z daleka, szługa jarzy... Z działek drugi wyłazi w masce!

Pończocha na cyferblacie, patrzaki w dziurach, kino! Uśmieł-

bym się, ale jakoś humoru nie miałem. On gai: „My po kasetę z Kryształowej, hajc darujemy“ „Smał z mety zwracam — powiadam

— ale o kasce pierwsze słyszę, co w niej takiego było? „Ani blit, ani cekiny — on na to. — Dla was żadnego pożytku. Jeśli widziałeś, wiesz, co to jest, a jeśli nie widziałeś, to i nie musisz wiedzieć. Słuchaj, co masz wnukowi przegryp- sować“ —

I dyktuje, skubany, sekretarza sobie znalazł, niech go trąd!... — „Dam ci znać — powiada — kiedy się zgłoszę i dobrze ci radzę: kasetę ma się znaleźć!“ Obyś zdechł ze swoimi radami

— myślę, ale mówię pokornie: „Tak, panie!“ — i ostatnią zgrzybiałą łajzę odstawiam, wlokę się do domu, kusztykam, ale goryl aż pod próg mnie odprowadza.

Następnego dnia dziadek sobie nogę bandażami po kolano owinał, w płytki kalosz wetknął.

— W paczce do wnuka wiadomość ślę, a tu zgryz, bo mój chłopak nic nie wie. Pisz: forszę oddaj, ja na spowiedzi wszystko odpucuję, tak jak kazali, ale sejfu nie brałem. Pisz jeszcze ten mój biedak: dziadek, mądry jesteś, wytłumacz im, że to tragiczna pomyłka... Mądry! Mądry tylko rozumnemu przetłumaczy, ale nacha- łom? Znowu na ich znak wlokę się nocą pod działki, goryl lizie za mną, szlag go trafia na ten ślimaczy galop, trzy kwadransy tak szedłem! Tamten w masce jak nie skoczy na mnie, że tyli czasu czeka! Czasu nie ma! A nie miej, niech cię czarna ospa porazi — myślę sobie, a na głos mamlam: „Synu, mnie siedemdziesiąt i pięć stuknęło...“ Siedem lat sobie dodałem, jego babci deserowy talerzyk do tego, w metrykę mi nie zajrzy, łatek! Mówię: „Popatrz, jak mi się noga gnoi“ — i zaczynam bandaż nieśpiesznie motać... Krew go zalała! Nie chciał mojej nogi oglądać. Nie, to nie. „Gryps podałeś?“ — warczy. „Podałem, panie — bandaż se na kulsie dalej montuję. — Odpowiedzi jeszcze nie mam, gram na zwłokę, przecie nie w sanatorium wnusio, tylko w mamrze“. „A może on glinom kasetę wydał?“ — I widzę, że tego zamaskowanego to najbardziej boli. „Nie zrobił tego — powiadam — bo musiałbym wiedzieć“. „Drugi gryps ślij!“

— I znowu mi gada, co mam napisać. Dwadzieścia zeszytów dodać obiecuje. Łaskaw- ca! Myślę sobie: zależy ci, gnojku, aby to w ręce MO nie popadło.

Na tym się rozstaliśmy. Z powrotem także ślimaczym truchtem idę, w duchu w cetno i lichy gram: zniecierpliwi się goryl i mnie zaniecha czy wytrzyma i pod dom mnie dokonwojuje.

Skołowałem go tą swoją słabością, nie zdierzył, zmył się...

Jeszcze chwilę pomarkowałem, a potem skrótami za nimi, ja tu każdy koci trop znam, nie wymkną mi się... O! — myślę

— łatki zawieszony, gangsterzy z was jak z koziej dupy puzon, Osiorny musi wiedzieć, kto się z nim tak na chama spoufala!

— Nie spostrzegli pana?

— Kapitanie, mnie przez trzydzieści lat ludzie koło swoich łóżek nie dostrzegali... A jaki akrobata byłem! Do Staniewskich

miałem się angażować... Był taki cyrk na Karowej, największe szapito w Polsce, ale co pan tam może pamiętać, kapitanie! Pan to już pewnikiem z powojennego miotu...

— Nie powiodło mu się — przerwał sierżant. — Oni taksówkę złapali...

— Do taryfy tylko jeden wsiadł — sprostował Osiorny — drugi, chyba ten mój goryl, gdzieś się po drodze rozplątał.

— Nie mógł go gonić — podjął sierżant

— bo drugiej taksówki w pobliżu nie było, ale przytomnie numer wozu zapamiętał: 03025!

— Nic nie wymyśliłem — westchnął Osiorny. — Z pustą ręką już iść do nich nie śmiałem, no to umieranie urządziłem.

Pomyślałem, może oni na wstrzymanie wezmą, jak się rozniesie, żem zaniemógł. Po wtóre: wnuka mi trzeba było, bo może sytuacji nie docenił, zlisił się i kasetkę dekuje, a nawet swemu dziadusiowi łąze. Jak się zaś dowie, że korkuję, to zrozumie, że jesteście w musie.

— Często pan umiera?

— Tylko w stanie najwyższej konieczności.

— Nie nadużywa — przerwał sierżant. — Za mojej całej kadencji chyba tylko ze trzy razy.

— Dwa! Panie Zawisłak, tylko dwa — z godnością sprostował

dziadek. — Nawet proboszcz to rozumie i przychodzi z olejami, choć dogaduje: „Wreszcie znów się wypowiadasz, stary łajdaku!

Czemuś na Wielkanoc u spowiedzi nie był?”

— Przywiozłem panu wnuka.

— Bóg panu wynagrodzi, kapitanie, choć pewnikiem pan nie wierzący... Błogosławiąc wnuka już wiedziałem, że on z rękawa przecież nie wytrzepie tego. czego nie ma, no to porwanie załatwiłem i do pana Zawisłaka przyszedłem.

— Byłbym zapomniał — podałem mu plecionkę Zenka. Na jej widok stary wydał pomruk niezadowolenia.

— Aaa, bezpotrzebnie — stęknął. — I tak wszystko jak na spowiedzi powiedziałem.

Kiedy wyjaśniłem, że Władeczek jest współwłaścicielem domu przy ulicy Kryształowej, zainteresowałem się bliżej osobą portiera z „Wodnika“ i ciekaw byłem, czy współnik pani Oziemkowej przyjdzie zdementować jej naiwne kłamstwa.

Już następnego dnia przyszedł i sprostował. Dla dobra śledztwa, oczywiście! Giętkość jezuitę i tupet, który można było wziąć za pewność siebie człowieka o czystym sumieniu.

Zaraz na wstępie popełnił jednak błąd: wyparł się znajomości z Czesławą Antoniak. Lokatorkę hipotecznej spółniczki rzekomo znał li tylko z widzenia. Podobno źle się prowadziła, oczywiście jest to opinia pani Oziemkowej, bo on na ten temat nie może nic powiedzieć; jednak pani Nela ma skłonności — jak już zdążyłem zauważyć — do przesady i koloryzowania.

Nic nie wiedział o rachunku za światło, znalezionym przez nas w pokoju Antoniak. Zgnieciony w kulkę kwit przeczył jego zapewnieniom, nie daje się takich zleceń osobom znanym z widzenia. Oczywiście nie wspominałem mu o tym.

Miałem powody, aby podejrzewać, że jest sutenerem i wspólnie z madame Oziemek stręczy dziewczyny, czerpiąc z tego zyski.

Czy może być coś bardziej odrażającego niż człowiek handlujący dziewczynami, zbijający pieniądze w cieniu ich złej sławy? W

miarę rozwoju dochodzenia, moje podejrzenia przerodziły się w pewność. I co z tego? Udowodnienie sutenersstwa nie jest rzeczą łatwą, a w tym przypadku było o tyle trudniejsze, że oni mieli się na bacności; przede wszystkim trzeba mieć świadków, którzy zechcą złożyć i podpisać swe zeznania, a potem potwierdzić je w sądzie. Świadkowie to dziewczyny. Aby Władeczka zamknąć, musiałem mieć świadectwo dziewczyn, ale by-

łem prawie pewny, że dopóki portier jest na wolności, nie znajdzie się taka odważna, która go oskarży. Krąg się zamykał.

Aby rozpedzić ten zamęt, musiałem mieć Władeczka pod kluczem: potrzebne były mocne, bezsporne fakty, wystarczające do uzyskania prokuratorskiej sankcji. Nie miałem ich, więc tylko poddałem portiera stałej obserwacji i nie tykałem typa.

Ostrożnie szukałem słabego punktu w jego pozornie niezachwianym alibi na krytyczny czas, w którym dokonano zabójstwa Czesławy Antoniak. Alibi tak niezachwianym, że było ono aż podejrzane. Od godziny dziewiątej wieczorem dnia dwudziestego czwartego czerwca aż do rana dnia następnego Władeczek pełnił portierską służbę — to było bezsporne. Ale do tego trzech pracownicy „Wodnika“ — drugi nocny portier, szatniarz i windziarz — potwierdzili, że widzieli go, jak przez dziesięć godzin swego dyżuru nie opuścił nawet na minutę swego posterunku przy drzwiach.

Przyznaję, że byłbym się chwycił byle pretekstu, gdyby ten pretekst starczył za podstawę dla prokuratora, aby przymknąć Władeczka chociaż na miesiąc! W ciągu miesiąca znalazłbym dowody jego haniebnego procederu. Może źle szukałem, lecz nie znalazłem nawet pretekstu. Byłem bezsilny wobec tego męta, ukrywającego się pod liberią portiera ekskluzywnego lokalu.

A teraz wreszcie mogłem dostać draba! I to już nie był pretekst. Chodziło o szantaż i groźbę kidnapingu. Komunikat tajnej służby, obserwującej portiera, uzupełnił wiadomości uzyskane od dziadka Osiornego: „Obiekt wziął taksówkę nr 03025 z postoju pod hotelem „Wodnik“, wysiadł na ulicy Księżnej Anny, gdzie wóz na niego czekał“ — brzmiał raport.

W obawie przed dekonspiracją — nie sprzyjający obserwacji, odkryty, nie zabudowany teren — nie zdecydowano się na prowadzenie portiera pod ogródki działkowe: „Obiekt powrócił tą samą taksówką i zwolnił ją na tym samym postoju, a sam wszedł do restauracji „Wodnik“. Uzyskano na piśmie poświadczenie tych faktów od kierowcy samochodu numer 03025“.

Zeznania taksówkarza i dziadka Osiornego były wystarczające, aby przymknąć Władeczka, ale jeszcze go nie ruszałem, bo nic nie wiedziałem o jego współniku, a ten mógł się zemścić na małej Osiornej, mimo

przebiegłości jej dziadka i opieki Zawisłaka. Na wszelki wypadek posłałem na Utratę dwóch mocnych, nie rzucających się w oczy facetów; byczyli się przez kilka dni w ogrodzie sierżanta, bardzo sobie chwając jego poziomki, truskawki i czereśnie.

Wciąż nie udawało się odnaleźć właściciela złotej doxy, już byłem skłonny przypuszczać, że Marian Latecki przerznął ją na melinie w Miłosnej do dyrektora Nowaka — prawie przywiązałem się do tej wersji, taka wydawała się zgrabna.

Bartek dopadł wreszcie bankiera kasyna — wygarnął go wprost od bakarata, niektórzy co płochliwsi goście salwowali się ucieczką przez okna — i tym razem nie zapomniał o mnie.

— Chcesz pogadać z moim bankierem? Proszę, miał już własnego bankiera.

Chciałem; bankier potwierdził, że Latecki przegrał kiedyś złoty zegarek, i bardzo możliwe, że nawet do dyrektora, ale nie był nim Wacław Nowak. Bankier nie rozpoznał go na fotografii. Nie wskazał na niego i sam Latecki.

— Nigdy nie widziałem tej twarzy — powiedział po obejrzeniu zdjęcia dyrektor garmazu.

I ani Bartek, ani ja nie mogliśmy trafić na nowego właściciela zegarka zaopatrzeniowca.

Chronometr dyrektora Nowaka nie był także prezentem od Zjednoczenia: nie, z całą pewnością — sprawdził to Biernat —

zwierzchnicy nie obdarowali naszego menażera złotym zegarkiem.

— No i co warte twoje plotki! — natrząsał się Leszek z wywiadowcy.

— Nie moje — bronił się Bartkowy as. — Widocznie prezent od Zjednoczenia to taka sama prawda jak i to, że szwagier Nowaka jest wiceministrem, o czym już nawet kapitanowi nie wspominałem, bo nie należy do rzeczy.

Jedno pozostawało pewne: dyrektor Nowak miał złoty zegarek, bo swego czasu chwalił się przed każdym, kto chciał słuchać, że takim prezentem uczciło go Zjednoczenie. A teraz go nie ma!

Tymczasem w śledztwie nastąpił zasadniczy zwrot. Stało się to w momencie, gdy otrzymałem ekspertyzę pisma Czesławy Antoniak. Stwierdzony przez biegłych fakt uruchomił łańcuchową reakcję skojarzeń, które dotychczas wartościowały się w pod-

świadomości, ale nie ułożyły się jeszcze w logiczny ciąg przyczyn i skutków.

Trudno wytłumaczyć ten pozornie — bo przecież tylko pozornie

— nagły błysk i zaraz następującą za tym jasność widzenia; dotychczas rozrzucone, zdawało by się zupełnie oderwane fakty, raptem połączyły się w mocną, logiczną konstrukcję.

Widziałem kiedyś takie chińskie pudełeczka z laki: otwiera się jedno, w nim jest mniejsze, w tym następne i tak dalej aż do najmniejszego, które już nic nie kryje w swym wnętrzu. W

tym momencie ja otworzyłem dopiero przedostatnie pudełeczko, a sądziłem, że już dotarłem do ostatniego.

„Próbka numer jeden i próbka numer dwa przedstawia tekst pisany ręką tej samej osoby“ — stwierdziła ekspertyza; próbka numer jeden to był własnoręcznie napisany przez Czesławę Antoniak życiorys, złożony w dokumentach sekcji kadr firmy

„Tempo“, natomiast numer dwa to list podpisany nazwiskiem Kazimierza Karolaka, oskarżający Mariana Lateckiego o nadużycia i skierowany do prokuratury. Wówczas gdy pojechaliśmy z Bartkiem do Karolaka, zachowanie hodowcy nerek z Wawra od razu wydało mi się dziwne. Ale wtedy zasugerowałać mnie myśl o porachunkach między Karolakiem a Lateckim. Nieco później raz jeszcze odtworzyłem w pamięci tę rozmowę i zacząłem sobie — wprawdzie niejasno — zdawać sprawę, że to chyba jednak nie Karolak napisał ów list. Stąd jego niepokój i dość dziwne zachowanie, stąd ogólności i lakoniczne odpowiedzi.

Oczywiście musiałem zadać sobie pytanie: Kto więc jest autorem listu? Z pewnością ktoś dobrze znający stosunki w zakładzie. I właśnie wtedy, na wszelki wypadek, postarałem się o próbkę odręcznego pisma tej kobiety. Teraz rzecz była wyjaśniona, miałem to już czarne na białym i domyślałem się nawet, dlaczego Karolak nie odzegał się natychmiast od napisania tego listu. Ale czemu Czesława Antoniak sygnowała go nazwiskiem hodowcy nerek, tego w żaden sposób nie umiałem wytłumaczyć. Musiała jednak go znać, bo chyba nie wybrała sobie tego nazwiska z książki telefonicznej. Wysłałem do Wawra wezwanie.

—Pan przecież tego nie napisał — pokazałem mu list skierowany do prokuratury.

—Nie napisałem — przyznał bez żadnych uników. Siedział

przede mną przybity, załęczniony i jakoś żenująco pokorny. Ani śladu tamtej arogancji i pewności siebie. Inny człowiek.

—Dlaczego od razu pan tego nie powiedział?

—Myślałem, że to jakiś wasz chwyt... A panowie sami utrzymywali, że to ja...

— wymamlał coś jeszcze o głupich kawałach, o zawistnych sąsiadach i plótł zupełnie już od rzeczy o kłopotach ze zwierzątkami; samice medalistki chorowały nadal.

—Znowu pan kłamie. — Milczał; ani razu nie spojrzał mi w oczy. — Więc ja panu powiem: to było bardzo wygodne. Takiego obywatela władze szanują, takiego obywatela nie będą przesłuchiwać. A jeśli nie zechce nic więcej powiedzieć, nie będą nastawać... I tak z punktu wskoczył pan w skórę demaskatora kantów w firmie „Tempo“.

Sami naprowadziłem go na ten pomysł; popełniliśmy błąd, ale do diabła, pierwszy raz zdarzył mi się facet przywłaszczający sobie cudze doniesienie. Okazuje się, że nawet to może być przedmiotem kradzieży.

—W jakich okolicznościach poznał pan Czesławę Antoniak? —
szedłem na całego.

Znów milczenie. Wydawało mi się, że mimo tego zaciętego oporu jestem bliski czegoś bardzo istotnego, tylko powinienem pytać ostrożnie i nie wolno zdradzić się, że błądzę po omacku.

—Pan chyba wie, że ona nie żyje. Czy nie interesuje pana, co tam znalazłem.. — Karolak poderwał głowę, przestał kontem-płować swoje ręce, wbił we mnie oczy.

Ciepło, ciepło — pomyślałem i zastanawiałem się, czym teraz strzelić: złota doxa, wycinki „Życia Gospodarczego“? Nie.

Kaseta? Nie, o kasecie tym bardziej nie należy wspominać. Zaraz, zawiesiłem głos na słowach: czy nie interesuje pana, co tam znalazłem.. To go tak cholernie ruszyło; a przecież kasety nie znalazłem i nie mam pojęcia, co się z nią stało. Jeśli jest on facetem, który władował się do taksówki na Belwederskiej, będzie wiedział, że blefuję; ucieknie w siebie jak ślimak i nie wyciągnę z niego nic. A jeżeli Czesława Antoniak naganiała do „stajni“ na Kryształowej klientów, to... mógł tam trafić i norkarz!

Dlaczego by nie? I właśnie w tym momencie Karolak nie zniósł ciężkiego milczenia i odkorkował się.

—Pewnie znalazł pan zdjęcia... Ale w końcu to nie jest karalne... — silił się na pewność siebie, lecz zabrzmiało to jak jęk.

— Jeśli ich się nie kolportuje, to oczywiście nie jest karalne — przyznałem i w tej chwili zrozumiałem, że jeszcze bardzo wiele mam do otworzenia chińskich pudełeczek.

Ależ ze mnie prostaczk boży! Chyba mają rację moi zwierzchnicy, mówiąc o mnie: młody oficer! Wydawało mi się, że przez sześć lat praktyki w służbie kryminalnej można poznać życie od jego ciemnych stron, a jednak w przypadku domu na Kryształowej zawiodła mnie wyobraźnia. Sutenerzy i stręczycielki handlujący dziewczynami — tak! Naganianie klientów — tak! Ale zbieranie informacji o klientach i fotografowanie facetów w pikantnych sytuacjach, aby ich później szantażować, do diabła. Nie! No, wreszcie uzyskałem klucz do tej cholernej sprawy!

—Szantażowali pana? — Skinienie głowy i szept: „Tak“. —

Panie Karolak, nie jest pan małoletni, a ja też nie jestem harcerz, wal pan, jak leci, ja się nie zgorszę! Bywał pan w stajni na Kryształowej, tak?

— Byłem tam jeden jedyny raz i wolałbym ręce, nogi połamać.

— Teraz już nie ma znaczenia, co by pan wolał, tylko jak się to stało, że poznali pańskie nazwisko i adres. Legitymował

się pan przy wejściu, a może był pan zalany w trupa?

— Ja bardzo umiarkowanie piję...

No, proszę, jaki stateczny obywatel, prawie nie pije, tylko raz poszedł na dziwki i zaraz taki klops! Niewinni, stateczni, ofiary fatalnych przypadków! I tych, godnych współczucia biedaków, ja ekspediuję do mamra...

— Myślę, że oni mi coś zadali, jakiś środek oszalamiający... — bąkał niepewnie.

Zadali. Z pewnością pół litra albo trzy czwarte.

— Pamięta pan przynajmniej imię dziewczyny? Jakoś chyba kazała się nazywać.

— Madonna...

Aha, to ta dziewczyna z buzią dziecka i głosem rozkapryszonej dziewczynki.

— Gdzie ją pan zerwał?

— W „Wodniku“, ale... ja nie miałem pojęcia, że to prostytutka... — Biedny stary naiwniaczek* gdzie on się chował

przez te pięćdziesiąt parę lat? I co sobie myśli, że ja w to uwierzę? Po co ta zgrywa, dla kogo, teraz przecież i tak nie ma to najmniejszego znaczenia. Aha, on ma się za porządnego człowieka, a w jego rozumieniu porządny człowiek nie zadaje się z dziewczkami, amen!

— A co pan sądził, że to wychowanka instytutu dla szlachetnie urodzonych dziewczic?

— Myślałem, że to dziewczyna... no, taka nowoczesna dziewczyna, lubiąca przygody — widać tak często to sobie powtarzał, że wreszcie uwierzył. — Zrazu o pieniądzach nie było mowy.

— A kiedy?

— Ona w ogóle nie wspomniała o pieniądzach, tylko taki facet, już tam, na Kryształowej... Zaraz, nazywała go Kometa! — To było ważne, ujawnił nie tylko współnika sutenera, o którym nic dotychczas nie wiedziałem; ważny był fakt, że to ów Kometa brał pieniądze! Portiera z „Wodnika“ ani szatniarki wtedy tam nie widział. Kto go szantażował?

— Ta Antoniak, z początku nie znałem jej nazwiska...

Ugodziłem się na sto tysięcy w trzech ratach...

— Tak się pan dał strzyc jak baran, bez oporów? Płacił pan i pokornie milczał, człowieku!

— Kapitanie, ja mam żonę i dorosłe dzieci! Grunt i farma należą do żony, ja tylko hoduję zwierzęta, a ona handluje... Nie, nie jestem parobkiem, ale żona nie darowałaby mi takiej kompromitacji, pan nie zna mojej żony, a wstyd w środowisku!... Dwie raty spłaciłem, z trzecią miałem trudności, prosiłem o prolongatę, niełatwo mi było co i raz trzydzieści tysięcy przed moją starą skrócić. To ta piekielna baba, ta Antoniak, powiada: „Panie Karolak, pan jest oporny. Niedługo pan się przekona, jak się opornych załatwia!“

— I przekonał się pan?

— To chyba był ten list, ten donos na jakiegoś faceta, złożony w moim imieniu. Jak się od panów o tym liście dowiedziałem, to zaraz grabnąłem pieniądze, miałem powiedzieć żonie, że zgubiłem, i pojechałem uiszczyć... Drzwi otworzyła nieznana kobieta, zapytałem o Antoniak.

— Czy to nie ta kobieta? — pokazałem mu zdjęcie Neli Oziemkowej.

— Chyba ta. Nie jestem pewny, głowy nie miałem do pamiętania... Więc pytam

o tę szantrapę, a baba powiada: „Nie żyje!“ Gorąco mi się zrobiło. Mówię do niej znacząco: „Proszę pani, pieniądze przynoszę, miał być dla mnie film do odebrania...“ „Z bykaś pan spadł! — krzyknęła. — Ja o niczym nie wiem, ta zaraza, ta k... — tak wyraziła się — u mnie tylko mieszkała, a teraz z jej ścierwem kłopoty mam... Jak nie chcesz pan mieć milicji na karku, to idź pan z Panem Bogiem i więcej tu się nie pokazuj.

Dobrze radzę — powiada — i jeszcze to panu dodam, że żadnych filmów ani fotografii, ani

adresów, ani nic u mnie nie znaleźli;

— Z naciskiem to powiedziała. — Sama przy rewizji byłam! —

dorzuciła na koniec. — To bądź pan spokojny“. I drzwi przed nosem klap!

— I był pan spokojny?

— Jaki tam spokój, ale kamień w wodę; nikt nie przyszedł już upominać się o trzydzieści tysięcy, uwierzyłem, że sprawa przyschnie i uniknę kompromitacji.

W taki oto sposób znalazłem klucz do całej sprawy, ale liczba osób, które można było podejrzewać o zamordowanie Antoniaka, uległa gwałtownemu rozmnożeniu się — iluż to mężczyzn przewinęło się

przez dom na Kryształowej.

— Mgławica — stwierdził Leszek. —

Przyczaili się, dranie, nawet trzydzieści patyków poświęcili.

— „Ani blit, ani cekiny“ powiedział dziadkowi Osiornemu facet w masce, gdy pytał go o zawartość kasety... Lechu, tam były filmy! I jestem pewny, że tej kasety nie ma ani szlamiarz, ani sutener.

— Tej kasety prawdopodobnie już w ogóle nie ma. Zabrał ją i zapewne zniszczył człowiek, który zamordował Antoniaka, ale to eliminuje Władeczka i jego szpanę z kręgu osób podejrzanych o morderstwo — powiedział Leszek.

— Niekoniecznie. Pamiętasz, co mówił Zenek w pierwszym przesłuchaniu?

— Wyłamana szuflada w komodzie Neli Oziemkowej? Chcesz przez to powiedzieć, że Antoniaka nie miała sama materiałów, była tylko inkasentem.

— Przynajmniej wiemy, jaką rolę grała w tej spółce.

Występowała jako szanta- żystka. tamci pozostawali w cieniu.

— A... jeśli to Antoniaka wyłamała szufladę? — zastanawiał się Leszek. — Grzegorz! Ona umówiła Osiornego na konkretny dzień, czy wiesz, po co? Aby kradzież kasety poszła na złodzieja... Była pewna, że szefowie i tak nie zameldują milicji o włamaniu.

Madame Oziemkowa i Jerzy Władeczek zostali aresztowani jednocześnie; Leszek kierował rewizją na Kryształowej, ja natomiast w mieszkaniu Władeczka. Był to właściwie pokój w secesyjnej kamienicy — jednej z niewielu, jakie w śródmieściu przetrwały wojnę — i nawet trudno nazwać to kawalerką; jeden z siedmiu pokoi staroświeckiego apartamentu zajmującego całe piętro. Teraz mieszkały tam oprócz Władeczka trzy inne rodziny.

Portier jeszcze nie położył się spać, bo o czwartej skończył dyżur w „Wodniku“, a my przyszliśmy o szóstej. Na pozór wydawało się, że nakaz rewizji nie zrobił na nim większego wrażenia.

— Szykanować człowieka tylko dlatego, że jest właścicielem połowy domu — westchnął oglądając pieczęć prokuratora na dokumencie.

Nie reagowałem na te zaczepki. Nie miałem wielkiej nadziei, że znajdziemy tu jakieś dowody jego działalności przestępczej.

Porucznik, przydany mi do pomocy, nie spiesząc się, rysował

kredą białe krechy rozdzielające pomieszczenie na kwadraty i z tą samą flegmą zabrał się do przeszukania pierwszego, ograniczonego kwadratowymi liniami, sektora. To był niesłychany facet, miał chyba ósmy zmysł, coś w rodzaju radaru, bo przed nim nie ostał się żaden schowek; nie mówiąc o wręcz klasycznych, jak wydrażone nogi mebli, podwójne dna szuflad czy wyżłobione wnętrza desek do prasowania — to był banał

nawet dla mnie. Ale porucznik miał na swym koncie tak niezwykle skrytki, że o jego pomoc

dobijali się wszyscy oficerowie, jeśli w grę wchodziły szczególne przeszukania. Po zakończeniu swej pracy u Władeczka, porucznik miał zaraz jechać na Kryształową, o co Leszek dopominał się wielkim głosem.

Władeczek siedział obojętnie przy stole, więc porucznik poprosił go, aby wstał i wyłożył wszystko z kieszeni.

— Drobiazgi proszę położyć na stole.

Gdy portier opróżnił kieszenie, porucznik go jeszcze sam obszukał.

— Protestuję! — zachnął się Władeczek; wściekły, ciskał na stół notes, portfel, portmonetkę, kieszonkowy grzebień i lusterko.

Dozorczyńni, świadek przeszukania, poprosiła :

— Panie kapitanie, proszę mnie wypuścić, schody przynajmniej zamiotę, a potem podpiszę, co będzie trza, bez potrzeby czas mitręzę!

— Nie wolno, musi pani być aż do zakończenia rewizji.

— Ady wszędzie biurokraty — fuknęła.

Tymczasem porucznik obracał w palcach małe, okrągłe lusterko. Zwykle kieszonkowe lusterko, jakie można kupić w każdym kiosku za parę złotych. Spróbował podwa-

żyć krawędź scyzorykiem, a potem roz- tłukł je ostrożnie i wyłuskał z okruchów szkła małą karteczkę. Od chwili, gdy porucznik zainteresował się lusterkiem, Władeczek zabijał go spojrzeniem.

— Chyba o to chodzi? — oficer podał

mi świstek; było tam zapisane sześć nazwisk z adresami. Między innymi Karolaka i dyrektora przetwórci garmazeryjnej. Marian Latecki nie figurował. Istotnie bardzo chciałem znaleźć coś takiego, chociaż nie liczyłem, że Władeczek po morderstwie i zaginięciu kasety z filmami zachowa tak kompromitujący go spis.

Nazajutrz po aresztowaniu portiera i Oziemkowej Biernat przywiózł Madonnę. Zrzuciłem jej — trochę na wyrost —

współudział w szantażowaniu klientów, chociaż zdawałem sobie sprawę, że przede wszystkim była przedmiotem wyzysku. Patrzyła na mnie zaszczytymi oczyma — milczała; od niechcenia wspomniałem, że portier i Oziemkowa zostali także aresztowani

— zarzuty są ciężkie.

— I on... naprawdę będzie siedział? — upewniła się, pełna rozterki.

— Tak sądzę.

— To ja mu dołożę! — zdecydowała się nagle.

I zaczęła mówić; nie kryła mściwej satysfakcji, opowiadając o działalności portiera, a muszę przyznać, że miała co opowiadać.

— Przyszłam tam około... — zaczęła o wydarzeniach krytycznej nocy — była już Wiga z Norwegiem, a przed nimi przyszedł

Kometa, bo to cerber... Moje krzywe szczęście, że musiałam akurat ja zobaczyć Ceśkę w tej łazience. — Wybrała sobie ze wszystkich sił, nie oszczędzając tamtych; w taki sposób jeszcze przed wieczorem dostałem Kometę i Wigę.

Dlaczego nie powiedziała mi tego przedtem? Też pytanie, bała się! Portier wyłgałby się gładko, wiarę dano by przecież jemu, nie jej, bo on jest porządny człowiek, a ona co? Dziwka, która pewnie chce się zemścić za to, że nie wpuszczał jej do swej luksusowej knajpy. A potem to już Władeczek by się z nią policzył! Czy wiem, jak go przezywają dziewczyny? Nie wiedziałem. „Esesman“ — I natarczywie nakłaniała mnie do skomunikowania się z jej koleżankami. Bo jeśli okaże się, że ona jest jedynym świadkiem, który sypie portiera, to wyprze się wszystkiego, bez względu na konsekwencje,

jakie ją mogą spotkać z mojej strony.

— Mówię serio! Wolę siedzieć w mam-rze, niż narazić się Esesmanowi! Bo w „Wodniku“ pozostało jeszcze dwóch jego kumpli, szpana! Kapitanie, niech pan zawoła dziewczyny!

Nie zdążyłem zawołać, przyszły same; nie wiadomo, za pośrednictwem jakiego telegrafu rozniosła się wieść o aresztowaniu Władeczka, jedno jest pewne, że niemal natychmiast o tym wiedziały. Najpierw pojawił się zwiad, było ich trzy:

— Władeczek w ciupie, prawda? — zapytały zaraz od progu.

— Macie mi coś do powiedzenia?

— Kapitanie, ale on zakluczony czynie?

— Aresztowany.

— Niech pan bierze papier, będziemy mówić...

Opłacały się u nocnych portierów hotelu i restauracji

„Wodnik“ — u Władeczka

i jego dwóch kolegów. Inaczej ich nie wpuszczano. Nie wolno było narazić się żadnemu z tej trójki, bo wówczas podpadały u pozostałych. A nie narazić się, to znaczy płacić, więc płacili: miesięczny abonament — tak, było coś takiego — za prawo wejścia do nocnego lokalu kosztował dziesięć tysięcy złotych. Oczywiście nie mylić z opłatą za konsumpcję. Ten abonament to był prywatny cennik, ustanowiony przez Władeczka i jego kumpli. Za jednorazowe wejście do kawiarni taksa wynosiła sto złotych, paczka papierosów, obojętnie, jakiej marki, dla dziewczyn kosztowała pięćdziesiąt złotych, nawet toaleta najmniej dwadzieścia złotych. Traktowali je brutalnie, potrafili zwymyślać, uderzyć, sponiewierać, wyrzucić z lokalu.

Gdy doszło do nich, że Władeczek siedzi — ten był najbardziej bezwzględny — odmówiły płacenia haraczu za wstęp do kawiarni i zagroziły urzędującemu portierowi kryminałem. Jedną z nich uderzył w twarz i wszystkie trzy wyrzucił za drzwi. Obiecał, że połamie kości, jeśli jeszcze raz odważą się przyjść do

„Wodnika“.

Obu portierów aresztowałem jeszcze tego samego dnia. Wtedy dopiero okazało się, jak dyrekcja „Wodnika“ troszczy się o swoich ludzi: to są najlepsi pracownicy, a szczególnie Władeczek, zasłużeni w rozwoju hotelarstwa! A jak dbali o to, aby niepożądany element nie przenikał do reprezentacyjnej knajpy; sam kwiat personelu pod kluczem!

Podobna opinia wyglądała na kpinę, nie chciałem rozmawiać z dyrekcją, nie przyjmowałem interwencji, więc poskarżono się na mnie do prokuratora, który jednak — zorientowany w całości sprawy — odprawił ich z kwitkiem; sam podejrzewał, że pobłażliwość wobec tych trzech drabów była przez nich grubo opłacana.

Stało się to przedmiotem oddzielnego śledztwa, a ja tymczasem wciąż biedziłem się nad nie rozwiązana sprawą morderstwa. Według orzeczenia Zakładu Medycyny Sądowej śmierć Czesławy Antoniak nastąpiła między godziną dziesiątą a jedenastą wieczorem — dotychczasowe alibi Władeczka zaczęło trzeszczeć, bo zaświadczający za niego portier należał do „rodziny“ i też siedział, natomiast szatniarz i windziarz wycofali się z tego, co powiedzieli poprzednio, i w ogóle umyli ręce. Nie potrafiła także rozliczyć się z tych dwóch godzin madame Oziemkowa. Dopiero po dziesiątej, podobnie jak i Władeczka, widziano ją w szatni knajpy. Kometa —

furtian, wykidajło, goryl i barman w jednej osobie — nie mógł

wyliczyć się z czasu między ósmą a drugą w nocy.

W obliczu niebezpieczeństwa, bo widać było, że zarzuty są poważne, przysła solidarność bandy; zarówno Oziemkowa, jak i Kometa, zaczęli przede wszystkim bronić własnej skóry.

Przestał działać autorytet szefa, więc mówili i nie przebierali w środkach. Ich lojalność wobec Władeczka znikła zupełnie, najchętniej ubraliby go we wszystkie, w tym również własne nikczemności, z morderstwem Antoniaka włącznie.

Kometa, drab z barami gladiatora, mazał się jak dziecko i prawił o terrorze. W jego relacji portier jawił się jako groź-

ny gangster, jakiś rodzimy Al Capone, wszechwładny jak sycylijska mafia. Mafia! Trzech tępych prostaków, ograniczona baba i paru urzędników z hotelowej dyrekcji. Śmiać się chciało!

Oddzielając jednak ten demoniczny sos, można było wreszcie zrekonstruować, przynajmniej orientacyjnie, wydarzenia tamtego wieczoru: Około drugiej Madonna znajduje zwłoki Czesławy Antoniaka zamknięte na klucz w łazience na piętrze. Z kranu płynie strumyczek wody, woda ma odpływ, ściek wanny jest otwarty.

Antoniak siedzi oparta o ścianę, jej głowa leży na krawędzi wanny. „Włosy miała zupełnie mokre“ — podkreśliła Madonna.

Przerażona dziewczyna zawiadamia Kometa; ten każe milczeć, zabiera klucz od łazienki i jedzie do „Wodnika“. Jest około trzeciej w nocy, ruch w lokalu słabnie, ale ani szef, ani madame — której zresztą jeszcze o niczym nie mówią — nie opuszczają lokalu aż do zakończenia służby. Szef każe Komecie wracać, zakazuje w ogóle wchodzić na piętro — sam przyjedzie, to zarządzi! Poleca natomiast jak najspieszsze odprawienie gości, sprzątnięcie i wywietrzenie pomieszczeń.

Po służbie Oziemkowa i portier przybywają na miejsce.

Władczek lustruje pokój Antoniaka — Oziemkowa, Kometa i dziewczyny także wszystko widzą. Szef zabrania im wchodzić do mieszkania Antoniaka, potem decyduje, żeby przenieść ciało z łazienki do pokoju. Madonna zwraca uwagę, że włosy zmarłej są wilgotne; zaradza temu Nela Oziemkowa. Elektrycznym fenem osusza martwą głowę. Władczek i Kometa przenoszą zwłoki i lokują w fotelu, przedtem szef rzuca na podłogę prześcieradło kąpielowe, wchodzi więc po tym prześcieradle, aby nie pozostawić żadnych śladów. W pokoju niczego nie dotykają. Na rozkaz Władeczka Wiga myje łazienkę. Dopiero potem portier robi przegląd pomieszczeń, stwierdza wyłamany zamek w szufladzie, brak dwustu dolarów i kasety z kompromitującymi filmami. Panicznie się boi, aby nie trafiły one w ręce milicji, więc podejmuje własne śledztwo, które doprowadzi go do Osiornych; a potem do końca jest przeświadczony, że to robota szlamiarza.

Powiadomienie milicji o wypadku jest jednak nieuniknione; szef reżyseruje scenariusz wydarzeń; przede wszystkim Wigi, Madonny, a już szczególnie Komety „nigdy nie było na Kryształowej, teraz dom za

myka gościnne pokoje aż do czasu zakończenia śledztwa przez MO. O śmierci lokatorki powiadomi władze Nela Oziemkowa, prawowita i zameldowana tu współwłaścicielka willi. Szef instruuje, jak się ma zachować: jak najmniej mówić! —niestety, to było ponad możliwości madame Oziemkowej — natomiast każe jej opowiadać o złym prowadzeniu się Czesławy Antoniaka i nawet wymyśla tych mitycznych kudłaczy. Ekspozowanie fatalnej re-putacji Antoniaka ma w planie szefa zasadnicze znaczenie; przewiduje on, że w końcu milicja wpadnie na to, że zamordowana była kiedyś prostytutką, a wówczas goście składający nocne wizyty w willi zostaną zaliczeni na jej konto. Przypuszczał widocznie, że tych odwiedzin nie da się ukryć.

Władczek pierwszy wycofuje się z Kryształowej; nie przewidział tylko, że Nela Oziemkowa przedobrzy, wymyślając na poczekaniu — zupełnie bez potrzeby — nie istniejących współwłaścicieli willi. Dziewczyny z Kometa zostają, pucują podłogi i zacierają ślady po Norwegu i Angliku, potem pojedynczo wymykają się z willi. A Nela Oziemkowa jeszcze raz bada wszystko gospodarskim okiem. Zagląda do pokoju, gdzie usadowiono zmarłą. Coś tu jej nie gra, bo prostytutka

nieodłącznie kojarzy jej się z alkoholem, a na tym stole jest tak pusto! Tedy robi ostatni retusz. Stawia butelkę koniaku i kieliszek.

Dochodzi jedenasta rano — dzwoni do milicji.

— A mnie, się wydaje, że szufladę komody wyłamała Antoniak

— Leszek nadal przy tym obstawał; jego zdaniem to ona zabrała kasetę z filmami.

— Chciała ją sprzedać na własny rachunek, a nabywcę znalazła bez trudu. To niewątpliwie jeden z sześciu mężczyzn figurujących w spisie sutenera. Napuściła szlamiarza.

zostawiając mu wielkodusznie te dwieście dolarów. I mogła bez ryzyka rąbnąć kasetę, bo i tak wszystko poszłoby na jego konto. Tyle że robota musi być fachowa, bo Władeczek to frant, byle czego nie da mu się wymówić... A tak bez pudła uwierzy w złodzieja...

— Ona będzie kryta, a do milicji szef z tym nie pójdzie — koncepcja Leszka trafiała mi do przekonania.

— Afera pozostanie w rodzinie. Wielkie rzeczy, upuści szefowi trochę szmalu, ten itak wnet sobie odbije. Dziewczyny znów przyprowadzą jeleni, którzy będą potem bulić... Antoniak umawia kupca, ale na ten sam wieczór sprowadza i szlamiarza! Rankiem po służbie szef stwierdzi brak kasety, więc musi być widoczne jak byk, że grasował złodziej... Zapewne wszystko przebiegło zgodnie z planem, jednego tylko nie przewidziała: że klient skręci jej kark...

A więc sprawcą jest człowiek, który w miejscu zabójstwa porzucił pociętą gazetę, zgubił złotą doxę, następnie uciekał

przez park Morskie Oko, a na Belwederskiej, w pobliżu Grottgera, wsiadł do taksówki trzymając metalową kasetę, kojarzącą się kierowcy z wyglądem kufereczka; człowiek z wadą wymowy.

Tym razem już niezawodnie przyszła nam z pomocą służba wywiadowcza.

— Cechy na zegarku pochodzą z firmy na Nowym Świecie, poza tym naprawiał go renomowany zegarmistrz, starszy cechu i biegły sądowy — zameldował Bartkowy as.

Na wewnętrznej stronie koperty złotej doxy ujawniliśmy swego czasu — widoczne przez silną lupę — cyferkę i dwie daty wyżłobione pajęczą, lecz wyraźną linią. Ostatnia data pochodziła sprzed trzech miesięcy. Przypuszczaliśmy, że jest to znaczek zegarmistrza, u którego chronometr był w naprawie lub konserwacji. To znany zwyczaj, praktykowany przez wielu zegarmistrzów. Od razu rozpoznają, czy zegarek był już reperowany u nich i jeśli tak, to jak dawno; tym bardziej że dają gwarancję, a w razie uszkodzenia w tym okresie, naprawiają bezpłatnie. Cyfra wewnątrz koperty stanowi swego rodzaju kartę gwarancyjną i znak firmowy rzemieślnika.

I to była nasza ostatnia szansa dotarcia do właściciela złotej doxy; Bartkowy najlepszy wywiadowca — z pomocą kolegów

— niezmordowanie przemierzał miasto poszukując właściciela zakładu. Upór i łut szczęścia pozwoliły mu odnaleźć autora znaku; w rejestrze zegarmistrza już bez trudu trafił na nazwisko właściciela złotej doxy numer fabryczny 22897543 — był nim dyrektor Wacław Nowak.

Szef kombinatu przetwórczego sprawiał wrażenie podenerwowanego; dyszał, sapał, co chwila przyciskał dłonią serce. Nie wypadł z roli zaaranżowanej podczas naszego pierwszego spotkania, a przecież w rzeczywistości był zdrów jak ryba, nigdy nie miał kłopotów z krążeniem.

— Zna pan Kazimierza Karolaka?

— Znam — odpowiada bez chwili wahania i nieco się rozluźnia; prawdopodobnie sądzi, że tylko w tej sprawie został poproszony.

— Karolak twierdzi, że chodziliście razem na wódkę.

Moment konsternacji, znów ten ruch dłoni masujący serce.

— Chodziliśmy to przesada... Chyba że dwa razy byliśmy na kolacji... I niech pan nie myśli, kapitanie, że pozwoliłem, aby on stawał, płaciliśmy po połowie.

— Mówił o pewnej kolacji, po której pojechaliście na Kryształową!

— Gdzie?! — Bardzo sztucznie wypada jego zdziwienie.

— Na Kryształową. Natomiast w noc świętojańską poszedł pan tam, aby odkupić od Czesławy Antoniaka kompromitujący pana film!

— Nonsens! Czy pan znalazł taki film? — Nie odpowiedziałem mu, więc chwyta się wątlej niteczki i atakuje: — No, proszę mi go pokazać!

— Znalezione na Kryształowej „Życie Gospodarcze“ pochodzi z pańskiego zakładu, jak również gilotyna, którą je pocięto. Nie miał pan pieniędzy na odkupienie kompromitującego filmu, ta pocięta gazeta, owinięta w papier, miała imitować plik banknotów.

— Przecież pan wie, że nie tylko ja mam dostęp do prasy w zakładzie, a gilotyny także nie trzymam pod kluczem.

Wyjmuję z kołczanu swą ostatnią strzałę; kładę przed nim złotą doxę.

— To zgubił sprawca na miejscu zabójstwa! A w rejestrze firmy zegarmistrzowskiej na Nowym Świecie zapisano ten zegarek pod pańskim nazwiskiem... — Wy

mieniam numer fabryczny i datę naprawy, a nawet rodzaj usługi i dalej, aby mu nie dać ochłonać:

— Czeka pana także konfrontacja z kierowcą, który zabrał pana w noc świętojańską z Belwederskiej i zawiózł do „Europejskiego“.

— Do tego miejsca u zbiegu Belwederskiej i Grottgera doprowadził nas pies — uzupełnia Leszek.

I teraz dyrektor kapituluje. Tak, był kilka razy na Kryształowej, a potem Antoniak zaczęła go szantażować.

Dwieście tysięcy na raty. Targował się, udając, że ma pieniądze. Nie wiedząc, co robić, grał na zwłokę. Nieco później kobieta zaproponowała mu oddanie filmu za sto tysięcy złotych, ale gotówką, z ręki do ręki. Stu tysięcy także nie miał i wiedział, że ich nie zdobędzie, ale zgodził się, targując się jeszcze dla fasonu, jak gdyby je miał. Umówili się wreszcie na wieczór świętojański, bo teraz ona ciągle odkładała spotkanie, tłumacząc się nie sprzyjającymi okolicznościami. Miał tam przyjść z pieniędzmi. Wszystko, co posiadał, to było dwadzieścia osiem tysięcy oszczędności. Zrobił z nich paczkę, oprócz tego przygotował jeszcze trzy paczki z pociętymi gazetami — owinał każdą w papier.

Dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego taksówkarz zwrócił uwagę na dziwną wymowę pasażera wziętego na Belwederskiej. Wacław Nowak pod wpływem silnego zdenerwowania tracił dykcję, łykał

sylaby, źle akcentował słowa.

— Nie miałem zamiaru jej zabić! Przecież jestem dość silny.

Myślałem: postraszę, nawet przyleję, zabiorę film i co mi zrobi, jeśli już będę go trzymał w ręku? Przecież nie poskarży się milicji.

— Po co w takim razie wziął pan pieniądze?

— Aby zademonstrować, że dysponuję gotówką i aby ona pokazała mi film, bo jeśli straciłaby zaufanie, mógłbym się nawet nie zorientować, gdzie ukrywa rolkę.

Skąd wiedział, że Antoniak będzie bez żadnej obstawy? Sama mu o tym powiedziała.

Na przekór pierwszemu wrażeniu, uznałem taki fakt za możliwy. Pewno uważała go za zastrachanego ciemięgę, drżącego o swój stołek urzędnika, z którym można zrobić wszystko, co się chce. A poza tym ona tę kasetę ukradła swoim współnikom, więc kogo mogła wtajemniczać w transakcję z Nowakiem?

Miała do niego zadzwonić, gdy tylko gospodyni wyjdzie. To znaczy około dziewiątej wieczorem. Czekał w biurze na sygnał

od niej, bo w domu nie mógł ze względu na dociekliwość żony.

Na telefony od kobiet jego żona jest szczególnie uczulona.

Więc pozostał w biurze pod pretekstem nawału pracy. Antoniak zadzwoniła dopiero o dziesiątej, bo akurat Oziemkowa marudziła i wyszła później niż zazwyczaj. Kazała mu przyjechać natychmiast, mimo to upłynęło jednak pół godziny, zanim się tam dostał. Antoniak była już bardzo zdenerwowana.

— Prędko, bo zaraz ktoś tu przyjdzie! — poganiała go.

Poszli na górę do jej pokoju. Wciąż nagliła, chciała się go jak najprędzej pozbyć.

No tak, w tym czasie szuflada była już wyłamana, zbliżała się godzina Zenka Osiornego, jego przybycia Antoniak w żaden sposób nie mogła opóźnić, nie miała z nim łączności i lada chwila mógł nadciągnąć Kometa.

— Pokaż pieniądze — zażądała; wsparła rękę na zamkniętej kasecie.

Położył przed sobą cztery zawinięte w papier paczki, rozchylił opakowanie na tej, w której były naprawdę pieniądze.

Sięgnęła po nie — przykrył je dłonią.

— Wpierw film, potem pieniądze! — chwycił kasetę, w tym momencie ona porwała jedną z paczek, ale nie tę już sprawdzoną; posypały się skrawki gazet.

— Ach, ty s... — nie dokończyła; uderzył ją oburącz trzymaną kasetą. Nie, nie celował specjalnie w kręgi. Osunęła się, upadek złagodził stojący obok fotel, nie wydała nawet jęku. Rzucił się do przeszukiwania pokoju. Zabierał wszelkie zapisane odręcznie papiery, notatki, notes.

Co wtedy myślał? Aby nie pozostawić' po sobie żadnego śladu, nazwiska, adresu czy telefonu.

Antoniak wciąż nie dawała znaku życia; porwał ją i wyniósł

do łazienki, głowę

podstawił pod kran. I wtedy dopiero zdał sobie sprawę, że ona nie żyje! Nie wie, jak długo stał w tej łazience, zupełnie ogłupiały.

Uciekać! Ta myśl wyrwała go z odrętwienia. Przemknął się z łazienki do pokoju, bo wciąż pamiętał o kasecie; z łazienki do mieszkania Antoniak był jeden krok, te pomieszczenia sąsiadują ze sobą.

Wtedy usłyszał brzęk tłuczonego szkła, który dobiegł go z parteru. Bez tchu wpadł do pokoju, chwycił kasetkę, gotując się do ucieczki przez taras. W tym właśnie momencie ktoś otworzył drzwi, więc zupełnie bez namysłu, z całej siły rąbnął

przybysza w głowę trzymaną kasetą. Facet upadł — a on zupełnie oszalał z przerażenia, myślał, że znów zabił.

Zobaczył otwarte okno na taras; chwycił tego człowieka i przerzucił przez balustradę — pękła bariera, mężczyzna zwałił się na dół.

Dlaczego go nie pozostawił, przecież już mu nie zagrażał?

Nie wie, nie umie tego wytłumaczyć, działał pod wpływem jakiegoś szoku.

Sam gotów • był skoczyć z tarasu, ale wtedy dostrzegł haki odgromnika, po nich wydostał się do ogrodu. Wyszedł na Kryształową, przez park Morskie Oko dotarł do Grottgera, stamtąd na Belwederską. Dlaczego pojechał do „Europejskiego“? Było mu obojętne, gdzie, byle nie do domu. Nie mógł się w takim stanie nerwów pokazać żonie.

—No i jakieś alibi... — podkreślił Leszek.

—Nie myślałem o tym, chyba że podświadomie.

Brak zegarka spostrzegł dopiero nazajutrz i przez cały czas aż do tego dnia męczyła go obawa, czy nie zgubił tej doxy właśnie tam. Łudził się, że jeśli nawet, to niekoniecznie musi ją znaleźć milicja; poza tym na zegarku nie ma przecież jego adresu ani nazwiska.

Co zrobił ze szkatułką? Rozbił u siebie w piwnicy, znalazł

tam sześć filmów — spalił wszystkie. Jakąś ulgę przyniosła mu świadomość, że uratował od szantażu jeszcze pięciu nieznanym ludzi.

— Tylko zapłaciłem zbyt wielką cenę!

Koniec